Cyfrowy totalitaryzm i ekonomia bierności: chińska wojna z wiarą w świetle książki Sama Brownbacka

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje ewolucję chińskich represji, które przeszły od przemocy fizycznej do zaawansowanego totalitaryzmu cyfrowego. Współczesna wojna z wiarą opiera się na synergii systemów rozpoznawania twarzy, geolokalizacji i algorytmów, które zamieniają sumienie w dane statystyczne. Autor opisuje koncepcję państwa predykcyjnego podejrzenia, gdzie obywatel nie jest oceniany za konkretne czyny, lecz na podstawie profilu ryzyka stworzonego przez AI. Technologia przestaje być narzędziem, a staje się środowiskiem przemocy, w którym codzienne urządzenia, takie jak smartfony, służą do prewencyjnego wykrywania niezależności. Szczególnym przykładem tej architektury niszczenia wolności jest sytuacja w Sinciangu, gdzie odmienność kulturowa i religijna zostaje zautomatyzowana jako sygnał ekstremizmu.

The article analyzes the evolution of Chinese repression, which has shifted from physical violence to advanced digital totalitarianism. The modern war on faith is based on the synergy of facial recognition systems, geolocation, and algorithms that transform conscience into statistical data. The author describes the concept of a state of predictive suspicion, where a citizen is judged not by specific actions, but on the basis of a risk profile created by AI. Technology ceases to be a tool and becomes an environment of violence, in which everyday devices, such as smartphones, serve for the preemptive detection of independence. A particular example of this architecture of destroying freedom is the situation in Xinjiang, where cultural and religious difference is automated as a signal of extremism.

Artykuł analizuje ewolucję chińskich represji wobec grup religijnych i mniejszości, które przeszły od przemocy fizycznej do totalitaryzmu cyfrowego. Autor stawia tezę, że

współczesna wojna Chin z wiarą nie polega już tylko na karaniu czynów, lecz na zarządzaniu samą możliwością ich podjęcia poprzez infrastrukturę nadzoru (AI, biometria, analiza danych), która zamienia sumienie w statystyczny profil ryzyka. System ten dąży do całkowitego zniewolenia wewnętrznego, gdzie obywatel staje się własnym strażnikiem z lęku przed algorytmiczną predykcją. Kluczowym elementem tej architektury uciszenia jest jednak „ekonomia bierności" Zachodu – polityczny koniunkturalizm i pragmatyzm gospodarczy mocarstw oraz korporacji, które przedkładają dostęp do chińskiego rynku nad realną ochronę praw człowieka. W ten sposób świat demokratyczny, poprzez milczenie i dostarczanie technologii, staje się strukturalnym współudziałem w budowie globalnego prototypu kontroli, który zagraża wolności sumienia nie tylko w Chinach, ale i wszędzie tam, gdzie etyka zostanie zastąpiona przez rachunek kwartalny.

SŁOWA KLUCZOWE

cyfrowy totalitaryzm | ekonomia bierności | wojna z wiarą | infrastrukturalna przemoc | państwo predykcyjnego podejrzenia | nadzór cyfrowy KPCh | system rozpoznawania twarzy | cyfryzacja waluty | Wielki Firewall | przemoc semantyczna | due diligence praw człowieka | transnarodowa presja | wolność sumienia | architektura niszczenia wolności

Cyfrowy totalitaryzm zamienia sumienie w dane

Cyfrowy Wielki Brat: gdy sumienie zostaje zamienione w dane. Dotąd widzieliśmy ludzi, wspólnoty i miejsca: matkę odartą z dziecka, praktykującą Falun Gong bitą w więzieniu, tybetańskie dziecko zmuszone do upokorzenia mistrza, pastora rozpiętego na metalowych kratach czy ciężarną kobietę osłaniającą duchownego przed policyjną przemocą. Widzieliśmy obóz, klasztor, kościół domowy, szkołę z internatem i celę więzienną. Jednak współczesna wojna Chin z wiarą nie rozgrywa się już wyłącznie w takich miejscach. Jej najnowocześniejszy front przebiega przez kamerę, telefon, aplikację, bazę danych, algorytm, cyfrowy portfel, system rozpoznawania twarzy, geolokalizację, komunikator i policyjną predykcję. Dawny totalitaryzm pytał: „co powiedziałeś?". Nowy pyta także: „gdzie byłeś, z kim stałeś, czego nie kupiłeś, jaką aplikację usunąłeś, jakie zdjęcie pobrałeś, jak długo przebywałeś w pobliżu domu modlitwy i dlaczego twój rytm życia odbiega od normy?".

Technologia nie jest tu dodatkiem do represji – jest jej nową ontologią. Przemoc przestaje być epizodem, a staje się środowiskiem. Nie musi czekać na publiczny protest obywatela; może rozpoznawać wzorce zachowań, profile ryzyka i mikrosygnały niezależności. W państwie cyfrowego nadzoru religia nie jest już tylko zbiorem wyznawanych przekonań. Staje się statystycznym cieniem człowieka: miejscem przebywania, rytmem spotkań, siecią kontaktów, treścią wyszukiwań, obrazami w telefonie, brakiem pewnych zakupów, obecnością w określonej okolicy, komunikacją z rodziną za granicą czy gestem zapisanym w danych. Sumienie, którego nie da się bezpośrednio sfotografować, zostaje obudowane milionem śladów pośrednich.

Systemy orwellowskiej inwigilacji stosowane przez KPCh opierają się na synergii wielu narzędzi: kamer z rozpoznawaniem twarzy, systemów SkyNet, Police Cloud i Sharp Eyes, smartfonów z GPS-em, aplikacji takich jak WeChat, Wielkiego Firewalla, moderacji treści oraz cyfryzacji waluty, która umożliwia finansowe odcięcie człowieka od codziennego życia.

Wszystkie te elementy należy postrzegać łącznie. Kamera bez systemu danych jest jedynie urządzeniem obserwacji. System danych bez sankcji to tylko archiwum. Sankcja bez infrastruktury pozostaje ręczną przemocą. Dopiero połączenie kamery, danych, algorytmu i sankcji z codzienną zależnością od cyfrowych usług tworzy nową formę władzy: taką, która nie tylko karze za czyn, lecz zarządza możliwością czynu. W klasycznych dyktaturach człowiek bał się donosiciela; w dyktaturze cyfrowej boi się także własnego telefonu.

Dawniej władza musiała wprowadzić szpicla do wspólnoty religijnej. Dziś wspólnota sama nosi przy sobie urządzenie, które lokalizuje, rejestruje, filtruje i archiwizuje. Oczywiście telefon sam w sobie nie jest narzędziem tyranii – służy komunikacji, pracy, płatnościom, rodzinie, edukacji czy rozrywce. Właśnie dlatego jego represyjne wykorzystanie jest tak skuteczne. Totalitaryzm cyfrowy nie zmusza obywatela do wejścia w osobny aparat kontroli; on wbudowuje kontrolę w narzędzia codziennej wygody. Kajdanki stają się funkcją smartfona, a cela - usługą w chmurze.

Kluczowy zwrot polega na tym, że nadzór przestał być wyłącznie reaktywny – stał się prewencyjny. Państwo nie czeka na zorganizowany protest religijny, lecz wykrywa symptomy, które mogą do niego prowadzić. Ujgur nie musi wygłosić kazania; wystarczy, że jego zachowanie zostanie zakwalifikowane jako religijnie podejrzane. Chrześcijanin nie musi organizować demonstracji – wystarczy regularne spotkanie w mieszkaniu z grupą osób spoza oficjalnej struktury. Tybetańczyk nie musi publicznie czcić Dalajlamy; wystarczy, że przechowuje jego zdjęcie lub pobiera niewłaściwy plik. Praktykujący Falun Gong nie musi rozprowadzać materiałów – wystarczy, że jego kontakty i ruchy wpiszą go w profil ryzyka.

Represja przyszłości nie pyta o winę, lecz o to, czy jesteś przewidywalnie nieposłuszny. Tak powstaje państwo predykcyjnego podejrzenia, którego logika jest głęboko antyliberalna. W państwie prawa człowiek oceniany jest według czynów i dowodów; w państwie predykcyjnego podejrzenia – według profilu. Profil nie musi być prawdą; wystarczy, że jest użyteczny dla aparatu bezpieczeństwa. Jeśli algorytm lub baza danych uzna zestaw cech za „ryzykowny", jednostka może zostać zatrzymana, przesłuchana, ograniczona w przemieszczaniu się lub poddana „reedukacji". W ten sposób kara odrywa się od winy, a wolność od domniemania niewinności. Człowiek staje się potencjalnym przestępstwem.

W Sinciangu logika ta przybrała drastyczną formę. Kamery na ulicach i w autobusach, kontrola w domu, lokalizatory w telefonach oraz analiza zachowań stworzyły środowisko, w którym sama odmienność kulturowo-religijna staje się podejrzeniem. Pytanie „czy jesz wieprzowinę?" nie dotyczy diety – jest testem lojalności wobec systemu, który przepisał praktykę religijną jako sygnał ekstremizmu. To dowód na to, jak technologia wzmacnia przemoc semantyczną.

Cyfrowy nadzór przekształca przestrzeń duchową w policyjną

Najpierw państwo definiuje religię jako ryzyko, a następnie wykorzystuje technologię do wyszukiwania oznak tego zagrożenia w ciele społecznym. W Tybecie kamery w klasztorach i podsłuchy w domach pełnią tę samą funkcję: nie tylko rejestrują, ale przekształcają przestrzeń duchową w przestrzeń policyjną. Klasztor, który powinien być azylem kontemplacji, nauki i przekazu duchowego, staje się punktem obserwacyjnym. Mnich ma świadomość, że każdy gest, rozmowa, spojrzenie na zdjęcie, spotkanie z wiernymi czy odmowa udziału w oficjalnym rytuale mogą zostać odnotowane. Zmienia to samą naturę praktyki religijnej. Modlitwa pod kamerą nie przestaje być modlitwą, lecz zostaje obciążona cieniem świadomości, że w intymność duchową wtargnęło państwowe oko. Totalitaryzm nie dąży do tego, by zobaczyć Boga, lecz by wierzący nigdy nie zapomniał, że patrzy partia.

W przypadku chrześcijan cyfrowy nadzór uderza w sieci kościołów domowych. Spotkanie w prywatnym mieszkaniu można wykryć poprzez dane lokalizacyjne, komunikację, płatności, kamery osiedlowe, nacisk na właścicieli lokali czy kontrolę platform internetowych. Kazanie online można zablokować, grupę modlitewną rozbić przez infiltrację komunikatora, a Biblię w aplikacji usunąć lub ograniczyć. Wiernych śledzi się nie poprzez spektakularne akcje policyjne, lecz cichą analizę przepływów danych. To nowa forma prześladowania: mniej teatralna, bardziej administracyjna i

przez to często niewidoczna dla świata. Oprawca bez krzyku bywa trudniejszy do uchwycenia niż oprawca z pałką.

W przypadku Falun Gong technologia służy jednocześnie jako narzędzie wykrywania i izolacji. Ruch oparty na rozproszonej praktyce i nieformalnych sieciach jest szczególnie podatny na próby mapowania kontaktów. Jeśli władza potrafi zidentyfikować, kto drukuje materiały, kto je odbiera, kto się spotyka, kontaktuje z diasporą, wysyła pliki lub korzysta z narzędzi omijania cenzury, może rozbić sieć, zanim ta stanie się widoczna. To już nie jest walka z organizacją, lecz walka z samą możliwością organizowania się. Państwo nie chce jedynie zdelegalizować ruchu – chce uniemożliwić ludziom odnalezienie siebie nawzajem.

Taka infrastrukturalna przemoc zmienia psychologię społeczeństwa. Dawny strach przed policją był lękiem przed konkretną interwencją; nowy strach jest rozlany. Człowiek nie wie, który gest zostanie zarejestrowany, które słowo przechwycone, zdjęcie oznaczone czy kontakt uznany za niebezpieczny. W rezultacie uczy się autocenzury na poziomie mikrozachowań.

Przestaje mówić, klikać, iść, wysyłać, pytać, odwiedzać, śpiewać czy zapisywać. To największe zwycięstwo cyfrowego totalitaryzmu: państwo nie musi być obecne fizycznie, jeśli ludzie wszędzie je sobie wyobrażają. W takim systemie obywatel staje się własnym strażnikiem. Kamera zewnętrzna tworzy cenzora wewnętrznego. Człowiek zaczyna przewidywać podejrzenie władzy i zawczasu dostosowywać zachowanie – nie dlatego, że zmienił przekonania, lecz by przeżyć, nie narazić rodziny, nie stracić pracy i nie zniknąć. System w ten sposób nie tylko represjonuje religię, ale produkuje duchowe zmęczenie. Wiara schodzi do szeptu, potem do myśli, aż w końcu staje się lękliwym wspomnieniem. Państwo nie musi wygrywać sporu teologicznego; wystarczy, że uczyni praktykę wiary zbyt kosztowną psychicznie.

Cyfrowy nadzór ma nad klasyczną przemocą jedną przewagę: jest skalowalny. Funkcjonariusz może śledzić ograniczoną liczbę osób, system zaś monitoruje całe populacje. Dawny aparat bezpieczeństwa musiał wybierać cele; nowy zbiera dane szeroko, by potem zawężać krąg podejrzanych. To radykalnie zwiększa ambicje państwa. Nie chodzi już tylko o kontrolę liderów religijnych, lecz o zwykłego wiernego: kobietę idącą do domu modlitwy, studenta pobierającego kazanie, ojca uczącego dziecko modlitwy, mnicha rozmawiającego z pielgrzymem, Ujgura unikającego państwowego rytuału czy praktykującego Falun Gong wykonującego ćwiczenia w miejscu publicznym.

Infrastrukturalna przemoc i cyfrowa mapa lojalności

Totalitaryzm cyfrowy jest demokratyczny w najgorszym możliwym sensie: podejrzewa wszystkich z równą gorliwością. Jednym z jego najgroźniejszych elementów jest całkowita zależność od aplikacji niezbędnych do codziennego funkcjonowania. Bez wszechmocnych ekosystemów mobilnych, komunikatorów i systemów płatniczych w Chinach trudno dziś przeżyć: opłacić rachunki, korzystać z transportu, uzyskiwać informacje czy po prostu się komunikować. Gdy narzędzie uczestnictwa w życiu społecznym staje się jednocześnie narzędziem nadzoru, obywatel traci realną drogę ucieczki. Wyłączenie telefonu przestaje być aktem wolności, a staje się samowykluczeniem. W takim systemie państwo może twierdzić, że nikt nie zmusza do korzystania z aplikacji – to kłamstwo typowe dla infrastrukturalnej przemocy.

Formalny wybór istnieje, ale rezygnacja z niego oznacza utratę możliwości normalnego życia. Pełna cyfryzacja płatności wzmacnia ten mechanizm. Gotówka, mimo swoich wad, zapewniała pewną przestrzeń anonimowości; każda transakcja cyfrowa zostawia ślad. Jeśli państwo kontroluje systemy płatnicze, wie dokładnie, kto komu zapłacił, za co, gdzie i kiedy. Może zablokować konto, ograniczyć zakupy, uniemożliwić podróż czy odciąć od usług, wprowadzając finansową kwarantannę. Człowiek nie musi być formalnie skazany, by zostać społecznie unieruchomionym – wystarczy, że system uzna go za niepożądanego. To kara bez procesu i wykluczenie bez wyroku.

Dla wspólnot religijnych konsekwencje są druzgocące. Darowizna dla niezarejestrowanego kościoła, zakup materiałów religijnych, przelew do rodziny osoby zatrzymanej czy bilet do miasta, w którym odbywa się nieoficjalne zgromadzenie – wszystko staje się widoczne.

Gospodarka cyfrowa, która w wolnym społeczeństwie zwiększa wygodę, w państwie totalnym zmienia się w mapę lojalności. Portfel przestaje być tylko narzędziem wymiany; staje się spowiednikiem przymusowym, który wszystko zapisuje i niczego nie rozgrzesza. Należy jednak zaznaczyć, że technologia sama w sobie nie jest tyranią. Rozpoznawanie twarzy może służyć bezpieczeństwu, płatności cyfrowe ułatwiać życie, a sztuczna inteligencja pomagać w medycynie.

Problem nie tkwi w istnieniu narzędzi, lecz w ustroju, który je przechwytuje. W demokracji technologia podlega prawu, niezależnym sądom i debacie publicznej. W państwie totalnym technologia podlega partii, a tym samym staje się przedłużeniem jej instynktu. Jeśli tym instynktem jest kontrola, technologia zapewnia ją z prędkością światłowodu. Dlatego analiza chińskiej inwigilacji nie może być przejawem technofobicznej paniki. Nie chodzi o hasło „technologia jest zła”, lecz o pytanie: kto sprawuje nad nią władzę? Kto widzi kod, kto ma dostęp do danych i kto chroni mniejszość przed państwem?

Totalitaryzm cyfrowy rodzi się wtedy, gdy odpowiedź na wszystkie te pytania brzmi: partia. Chiński model nadzoru ma też wymiar eksportowy. Rozwiązania smart city czy systemy rozpoznawania twarzy firm takich jak Huawei i Tiandy trafiają do wielu państw, w tym autorytarnych. Oznacza to, że wojna z wiarą w Chinach nie jest jedynie wewnętrznym problemem tego kraju. To poligon doświadczalny dla rozwiązań, które mogą zostać sprzedane innym reżimom. Jeśli technologia sprawdza się w kontroli Ujgurów, Tybetańczyków czy chrześcijan, może równie skutecznie posłużyć do uciszenia opozycji, dziennikarzy lub związków zawodowych w dowolnym innym zakątku świata.

Cyfrowy nadzór jako niewidzialne narzędzie zniewolenia sumienia

Tyrania uczy się poprzez wdrożenia. Eksport technologii nadzoru jest szczególnie niebezpieczny, gdyż posługuje się językiem modernizacji. Państwo kupujące system nie musi deklarować chęci skuteczniejszego prześladowania obywateli; może mówić o budowie inteligentnego miasta, efektywnej policji, walce z przestępczością, optymalizacji transportu, bezpieczeństwie granic czy cyfryzacji usług. Choć cele te mogą brzmieć legalnie, bez gwarancji praw człowieka ta sama infrastruktura służy tłumieniu wolności. Kamera zamontowana w imię bezpieczeństwa może śledzić modlitwę. Baza danych stworzona dla administracji może identyfikować mniejszości. System analizy ruchu może wytypować uczestników protestu. Inteligentne miasto może stać się inteligentnym więzieniem.

Zło lubi granty rozwojowe. W tym miejscu pojawia się odpowiedzialność zachodnich państw i firm. Jeśli zachodnie technologie, komponenty, kapitał, know-how, uczelnie lub standardy badawcze pośrednio wzmacniają chińską infrastrukturę represji, nie wystarczy bronić się argumentem: „my tylko sprzedajemy narzędzia”. Handel narzędziami nie jest moralnie neutralny, gdy wiadomo, do czego mogą służyć. Kto sprzedaje pałkę oprawcy, nie może udawać, że interesuje go wyłącznie jakość drewna. Kto dostarcza system analityczny państwu prześladującemu religię, musi pytać o jego zastosowanie. Kto finansuje firmy powiązane z nadzorem, musi mieć świadomość, że zysk może pochodzić z czyjegoś strachu.

Due diligence praw człowieka nie jest ozdobą raportu ESG, lecz próbą niedopuszczenia do tego, by etyka została przerobiona na PDF dla inwestorów. Technologia nadzoru zmienia również charakter cenzury. Dawniej polegała ona na zakazie publikacji i kontroli druku; dziś obejmuje wyszukiwarki, komunikatory, platformy społecznościowe, sklepy z aplikacjami, filtry treści, systemy rekomendacji, usuwanie haseł, blokowanie transmisji, karanie za prywatne udostępnienia czy ograniczanie narzędzi omijania blokad. W efekcie państwo kontroluje nie tylko to, co obywatel

może powiedzieć, ale i to, co może znaleźć. To kluczowa różnica. Cenzura informacji religijnej nie tylko ucisza głos nadawcy, lecz odgradza poszukującego od możliwości poznania. Człowiek może nie wiedzieć nawet, czego nie pozwolono mu przeczytać. Najskuteczniejsza cenzura to ta, która znika wraz z ukrytym tekstem.

W przypadku religii ma to kluczowe znaczenie. Wiara rozprzestrzenia się przez słowo: kazanie, tekst, świadectwo, rozmowę, pieśń, komentarz, tłumaczenie czy opowieść. Kontrola internetu staje się więc kontrolą misji, katechezy, nauczania, przekazu rodzinnego i kontaktu z diasporą. Gdy Biblia, kazanie pastora, nauczanie Dalajlamy, świadectwo Ujgurki, materiały Falun Gong lub informacje o represjach zostają usunięte bądź utrudnione do znalezienia, państwo ingeruje w duchowy obieg społeczeństwa. Nie musi spalić ksiąg na placu – wystarczy uczynić je niewidocznymi w wynikach wyszukiwania. Cyfrowe ognisko nie daje dymu.

Nowoczesna inwigilacja ma także wymiar estetyczny: jest często niewidzialna. Więzienie widać. Kamerę można dostrzec, ale systemu powiązań danych już nie. Algorytmu podejrzenia nie widać. Decyzji o obniżeniu ryzyka mobilności nie widać. Czarnej listy nie widać, dopóki człowiek nie próbuje kupić biletu, przekroczyć granicy, uzyskać usługi, wysłać pieniędzy, zapisać dziecka czy wejść do budynku. To sprawia, że ofiara ma trudność z udowodnieniem, co właściwie się stało. Represja rozprasza się w procedurach. Człowiek słyszy: „system odrzucił”. Ale kto jest systemem? Gdzie twarz oprawcy? Gdzie decyzja i możliwość odwołania?

Biurokracja cyfrowa potrafi być przemocą bez nazwiska. Taki system niszczy również pojęcie prywatności religijnej. W liberalnej tradycji prywatność nie jest luksusem, lecz warunkiem wolności sumienia. Człowiek potrzebuje przestrzeni, w której może pytać, wierzyć, wątpić, czytać, rozmawiać, modlić się, zmieniać poglądy i szukać sensu bez natychmiastowego oka państwa. Jeżeli każdy gest duchowy może zostać odnotowany, człowiek traci możliwość dojrzewania wewnętrznego. Wolność religijna nie polega tylko na możliwości publicznego odprawienia rytuału; polega również na tym, że można po cichu szukać Boga, prawdy, współczucia, oświecenia albo własnej drogi bez obawy, że algorytm uzna to za podejrzane. Dlatego cyfrowy nadzór uderza nie tylko w religię zorganizowaną, ale także w duchowość indywidualną. Państwo totalne boi się wspólnot, lecz lęka się również samotnego człowieka, który zaczyna myśleć inaczej.

Cyfrowy totalitaryzm jako architektura niszczenia wolności i wspólnoty

W historii idei wiele wielkich przemian zaczynało się od czytania zakazanej książki, rozmowy, modlitwy, wątpliwości, nocnego notatnika, spotkania z nauczycielem czy cichego zachwytu. Cyfrowy totalitaryzm dąży do tego, by wejść właśnie tam: przed decyzję, deklarację i organizację. Chce dostrzec narodziny nieposłuszeństwa, zanim człowiek sam je nazwie. To jest przemoc wobec zalążka wolności. W tej perspektywie należy rozumieć „Wielki Firewall" nie tylko jako narzędzie cenzury politycznej, lecz jako mur antropologiczny. Oddziela on obywatela od alternatywnych źródeł sensu; chroni nie społeczeństwo przed kłamstwem, lecz partię przed porównaniem. Gdy człowiek dostrzega, że inni wierzą, organizują się, krytykują władzę, praktykują religię, bronią prześladowanych, dokumentują zbrodnie lub uciekają i mówią – oficjalny obraz świata pęka. Firewall ma zapobiec temu pęknięciu. Totalitaryzm nie boi się bowiem wyłącznie informacji; boi się wyobraźni. Informacja mówi: gdzieś jest inaczej. Wyobraźnia dodaje: więc tutaj też mogłoby być inaczej.

Technologia nadzoru służy również produkcji samotności. Jeśli każdy może być obserwowany i stać się informatorem, jeśli każdy kontakt budzi ryzyko, a komunikatory są przechwytywane – ludzie wycofują się z relacji. Religia opiera się na wspólnocie, podczas gdy totalitaryzm cyfrowy niszczy ją poprzez sianie podejrzeń. Nie trzeba zakazywać wszystkich spotkań; wystarczy sprawić, by ludzie zaczęli bać się zaproszenia. Nie trzeba niszczyć każdego kościoła domowego – wystarczy, że właściciel mieszkania przestraszy się wynajmu, sąsiad doniesie, komunikator zostanie zablokowany, a uczestnicy uznają, iż narażają dzieci. Represja działa tu poprzez rozproszenie odpowiedzialności: każdy „sam" decyduje, że lepiej nie ryzykować. Państwo może wówczas udawać, że niczego formalnie nie zakazało.

W ten sposób technologia przenosi totalitaryzm z poziomu spektaklu na poziom architektury. Spektakl przemocy jest widoczny: to proces, wyrok, aresztowanie czy pobicie. Architektura przemocy działa stale i dyskretnie: projektuje przestrzeń tak, aby pewne zachowania nie mogły się wydarzyć lub stawały się zbyt kosztowne. Jeśli w mieście brakuje miejsc wolnych od kamer, w sieci nie ma kanałów bez nadzoru, płatność zawsze zostawia ślad, podróż wymaga cyfrowej zgody, szkoła odcina dzieci od języka, a praca zależy od politycznej czystości – wolność religijna zostaje rozebrana nie jednym zakazem, lecz tysiącem warunków. Człowiek nadal formalnie oddycha, ale powietrze należy do państwa.

Chiński model stanowi ostrzeżenie także dla demokracji. Nie chodzi o to, że każde demokratyczne państwo stanie się Chinami – taka analogia byłaby zbyt leniwa – lecz o to, że technologie nadzoru,

raz znormalizowane, wykazują własną pokusę ekspansji. Państwa cenią narzędzia zwiększające przewidywalność, firmy dane zwiększające zysk, służby systemy obiecujące bezpieczeństwo, a obywatele wygodę. Z połączenia tych czterech skłonności może powstać miękka wersja nadzoru nawet tam, gdzie nie istnieje totalitarna ideologia. Dlatego krytyka Chin powinna być zarazem samokontrolą Zachodu. Kto potępia cudzy cyfrowy autorytaryzm, a sam beztrosko buduje infrastrukturę bez gwarancji prawnych, jest jak strażak z benzyną w kieszeni.

Największa różnica polega jednak na instytucjach kontroli. Demokracja może popełniać błędy, nadużywać nadzoru, rozszerzać kompetencje służb czy ulegać panice bezpieczeństwa, lecz posiada mechanizmy oporu: sądy, media, parlament, organizacje obywatelskie, wybory, skargi, debaty i niezależnych ekspertów. Gdy te instrumenty działają słabo, należy je wzmacniać. W Chinach problem jest strukturalny: partia stoi ponad mechanizmem kontroli. Dlatego technologia trafia nie do rąk państwa ograniczonego prawem, lecz do rąk władzy, która chce prawo ograniczyć do własnej woli.

Świadectwo jako opór wobec totalitaryzmu wizualnego

To różnica między nożem chirurgicznym a nożem w ręku napastnika. Narzędzie może wyglądać podobnie, lecz to kontekst decyduje, czy leczy, czy rani. Cyfrowa wojna z wiarą ma jeszcze jeden wymiar: propagandową produkcję rzeczywistości. Kamery i dane służą nie tylko do karania, ale także do kreowania obrazu "harmonijnego społeczeństwa". Państwo może eksponować czyste ulice, nowoczesne miasta, uśmiechniętych pracowników, oficjalne świątynie, zarejestrowane nabożeństwa czy szkoły z internatem jako sukcesy modernizacji. Jednocześnie usuwa obrazy obozów, blokuje świadectwa, zastrasza rodziny i kontroluje wizyty zagraniczne, produkując alternatywną narrację. To jest totalitaryzm wizualny: system nie tylko patrzy na obywateli, ale każe światu patrzeć na starannie przygotowaną scenografię. Kamera pełni więc podwójną rolę: jedna obserwuje ofiarę, druga produkuje propagandowy obraz braku ofiar.

Dlatego świadectwa osób takich jak Mihrigul Tursun, Wang Chunyan, Arjia Rinpocze, Peter Xu czy członkowie Kościoła Mayflower są tak ważne. Stanowią kontrdane wobec państwowej bazy kłamstwa. Pokazują, że pod gładką powierzchnią oficjalnej nowoczesności kryją się ciała, blizny, groby, zniknięcia i utracone dzieci. Władza cyfrowa dąży do przekształcenia człowieka w rekord danych; świadek przywraca mu biografię. Algorytm mówi: jednostka ryzyka. Świadek mówi: matka, pastor, mnich, praktykująca, ciężarna kobieta, dziecko, uchodźca. Opowieść staje się zatem formą oporu wobec danych. Dane klasyfikują, opowieść przywraca twarz.

Nie oznacza to, że należy odrzucić dane. Przeciwnie – dokumentacja, zdjęcia satelitarne, analizy łańcuchów dostaw i raporty są niezbędne, by przeciwstawić się zaprzeczeniom. Jednak dane bez świadectwa mogą zostać zneutralizowane technokratycznie, a świadectwo bez danych zaatakowane jako jednostkowy przypadek. Dopiero razem tworzą silny akt oskarżenia: liczba pokazuje skalę, imię nadaje sens. Władza boi się obu. Liczba burzy narrację o incydencie, imię zaś burzy narrację o abstrakcyjnej masie. Poważna obrona prześladowanych musi więc łączyć analitykę i pamięć, raport i opowieść, prawo i twarz.

Wojna technologiczna KPCh z religią ujawnia, jak błędna była naiwna wiara w to, że internet automatycznie przyniesie wolność. Przez lata wierzono, że sieć rozszczelni autorytaryzmy, bo informacja będzie krążyć szybciej niż cenzura. Częściowo było to prawdą – internet dał dysydentom narzędzia kontaktu i ucieczki od propagandy. Jednak państwa autorytarne uczyły się szybciej, niż przewidywali optymiści. Zrozumiały, że sieć może być nie tylko przestrzenią wolności, lecz największym systemem identyfikacji społecznej w dziejach. Technologia nie ma naturalnego kierunku moralnego. Może służyć Wyjściu z Egiptu albo budowie cyfrowego faraona. Wszystko zależy od władzy, prawa i odwagi obywateli.

AI jako narzędzie automatyzacji podejrzenia

Wszystko to prowadzi do pytania o rolę sztucznej inteligencji. Systemy AI, analizując twarze, zachowania, język, kontakty, emocje czy wzory ruchu i treści komunikacji, mogą radykalnie zwiększyć zdolność państwa do wykrywania niepożądanych wspólnot. W państwie prawa rozwój AI powinien podlegać zasadom przejrzystości, niedyskryminacji i kontroli sądowej, a zastosowania wysokiego ryzyka muszą być ściśle ograniczone. Jednak w systemie totalitarnym AI może stać się narzędziem automatyzacji podejrzenia. A automatyzacja podejrzenia jest groźniejsza niż automatyzacja produkcji. Maszyna potrafi bowiem popełniać błędy na skalę nieosiągalną dla człowieka. Jeśli pomyłka dotyczy reklamy, jest jedynie irytująca; jeśli jednak dotyczy wolności, może zniszczyć życie.

Religia jest szczególnie narażona na algorytmiczne nadużycia, gdyż jej praktyki są głęboko kontekstowe. Grupa ludzi w jednym mieszkaniu może być rodzinną kolacją, lekcją, modlitwą, naradą polityczną lub czymś zupełnie nieszkodliwym. Tekst religijny może służyć badaniom akademickim, prywatnej lekturze czy polemice. Podróż do klasztoru może być pielgrzymką, turystyką lub odwiedzinami u krewnego.

Algorytm oparty na logice bezpieczeństwa będzie skłonny nadinterpretować te wzory, zwłaszcza gdy państwo już wcześniej uzna daną grupę za ryzykowną. W takim scenariuszu technologia nie

neutralizuje uprzedzeń – ona je wzmacnia, nadając im pozór obiektywności. Dyskryminacja w mundurze jest brutalna, ale dyskryminacja w modelu predykcyjnym udaje naukę. Cyfrowa inwigilacja religii staje się więc formą epistemicznej przemocy: państwo narzuca własną definicję zachowań. Modlitwa zostaje uznana za sygnał radykalizacji, wspólnota za sieć podejrzenia, milczenie za dowód ukrywania czegoś, a kontakt z zagranicą za infiltrację.

Edukacja religijna dziecka staje się indoktrynacją, a odmowa uczestnictwa w oficjalnym kulcie państwa – nielojalnością. To nie jest zwykła pomyłka; to interpretacja uzbrojona. Gdy państwo błędnie interpretuje twoje życie i dysponuje narzędziami, by za tę interpretację ukarać, hermeneutyka staje się pałką.

W tym miejscu należy powrócić do zachodnich korporacji technologicznych. Jeśli świat demokratyczny traktuje wolność religijną jako fundamentalne prawo człowieka, musi wymagać od firm, by nie wspierały infrastruktury prześladowań. Dotyczy to sprzedaży technologii, inwestycji, partnerstw badawczych, przechowywania danych, moderacji treści czy transferu know-how, a także udziału w projektach smart city i współpracy z podmiotami powiązanymi z aparatem bezpieczeństwa.

Nie wystarczy deklarować w raporcie rocznym szacunku dla praw człowieka. Pytanie brzmi: czy firma odmawia kontraktów w momencie, gdy prawa człowieka kolidują z przychodami? Etyka pozbawiona zdolności do odmowy jest jedynie grafiką w prezentacji. Kluczowa jest zasada, że technologie wysokiego ryzyka nie powinny trafiać do systemów pozbawionych niezależnej kontroli. Rozpoznawanie twarzy, analiza biometryczna, predykcyjne systemy policyjne czy narzędzia cenzury nie są neutralnymi produktami eksportowymi, jak śruby czy krzesła. Ich użycie bezpośrednio uderza w wolność, życie i bezpieczeństwo konkretnych osób.

Cyfrowa tortura i fikcja wolności w systemie nadzoru

Sprzedaż takich narzędzi reżimowi prześladującemu religię jest moralnie tożsama z dostarczaniem sprzętu do tortur, tyle że w bardziej eleganckiej formie. Tortura analogowa zostawia krew na podłodze. Tortura cyfrowa zostawia logi w systemie. Nie oznacza to jednak, że rozwiązanie jest proste. Globalne łańcuchy technologiczne są skomplikowane: komponent może mieć podwójne zastosowanie, firma nie zawsze kontroluje każde wdrożenie, państwa wywierają naciski, a luki rynkowe szybko wypełniają konkurenci. Złożoność nie może być jednak usprawiedliwieniem.

Jest ona raczej powodem do stworzenia silniejszych mechanizmów kontroli: sankcji, list podmiotów wysokiego ryzyka, audytów praw człowieka czy zakazów eksportu konkretnych

technologii. Konieczna jest odpowiedzialność zarządów, przejrzystość inwestycji, ochrona sygnalistów oraz realne kary za wspieranie represji. Świat demokratyczny nie może wygrać z cyfrowym totalitaryzmem, jeśli będzie mu sprzedawał lepsze oczy.

Technologia nadzoru prowadzi nas do fundamentalnego pytania aksjologicznego: co właściwie oznacza wolność w epoce danych? W klasycznym liberalizmie rozumiano ją często jako brak przymusu zewnętrznego. W świecie cyfrowym przymus bywa niewidoczny, rozproszony i pośredni. Możesz nie być formalnie zmuszony do milczenia, ale jeśli każdy kanał wypowiedzi jest monitorowany – milczysz. Możesz nie mieć zakazu modlitwy, ale jeśli czyni ona cię celem represji, przestajesz modlić się publicznie. Możesz nie siedzieć w więzieniu, ale gdy nie możesz kupić biletu, opłacić usług czy przekroczyć punktu kontroli, jesteś de facto unieruchomiony. Wolność należy więc rozumieć nie tylko jako brak zakazu, lecz jako realną możliwość działania bez strachu przed arbitralną sankcją.

Ma to kluczowe znaczenie dla religii. Wolność religijna nie sprowadza się do zapisów konstytucyjnych czy ustawowych. Polega na tym, że człowiek może praktykować swoją wiarę bez ciągłego poczucia, że państwo zniszczy jego życie. Jeśli wierny wchodzi do świątyni z wiedzą, że system rozpoznawania twarzy może zaszkodzić jego pracy, rodzinie lub dzieciom – wolność jest fikcją. Jeśli pobranie tekstu religijnego zostaje odnotowane – wolność jest fikcją. Jeśli algorytm blokuje zasięg wypowiedzi o wierze i przekazuje dane służbom – wolność jest fikcją. Prawa człowieka kończą się tam, gdzie zaczyna się strach systemowy.

Cyfrowy totalitaryzm posiada jedną szczególnie podstępną cechę: potrafi działać bez masowego spektaklu okrucieństwa. Zmniejsza potrzebę widocznej przemocy, ponieważ skuteczniej steruje zachowaniem jednostek. Dla zewnętrznego obserwatora może to wyglądać jak stabilizacja: mniej demonstracji i otwartych konfliktów, czyste miasta, sprawne usługi i nowoczesna infrastruktura.

Ale cisza nie zawsze jest pokojem. Czasem jest efektem udanej prewencji strachu. Społeczeństwo może sprawiać wrażenie harmonijnego tylko dlatego, że ludzie nauczyli się nie poruszać strun, które system uznaje za fałszywe. Wówczas porządek publiczny nie jest dowodem wolności, lecz świadectwem skutecznej tresury. To właśnie tutaj nabiera mocy maksyma: „Niesprawiedliwość gdziekolwiek jest zagrożeniem dla sprawiedliwości wszędzie”. W epoce eksportu technologii nadzoru zdanie to staje się dosłowne. Niesprawiedliwość nie zostaje zamknięta w granicach jednego kraju. Jej narzędzia są sprzedawane, procedury kopiowane, język tłumaczony, a modele wdrażane i podziwiane na konferencjach o bezpieczeństwie.

Cyfrowy totalitaryzm jako globalny prototyp kontroli

Jeśli świat dopuści, by cyfrowa kontrola religii stała się standardową techniką rządzenia, problem nie ograniczy się do Ujgurów, Tybetańczyków, Falun Gong czy chińskich chrześcijan. Będzie to prototyp przyszłości, w której każdy niewygodny człowiek może zostać sprowadzony do profilu ryzyka. Najgorszym błędem Zachodu byłoby potraktowanie chińskiego modelu jako egzotycznej skrajności, która „u nas" nie ma znaczenia. Historia instytucji uczy czegoś przeciwnego: narzędzia kontroli wędrują szybciej niż ostrzeżenia przed nimi. Gdy pojawia się technologia umożliwiająca skuteczniejsze zarządzanie ludźmi, zawsze znajdą się ci, którzy zechcą jej użyć – najpierw przeciw terrorystom, potem ekstremistom, następnie w walce z „dezinformacją", protestami, aż wreszcie wobec grup uznanych za niewygodne.

Każdy etap ma swoje uzasadnienie. Rzadko zaczyna się od deklaracji tyranii; częściej od haseł o bezpieczeństwie, wygodzie i trosce o porządek. Dlatego wolne społeczeństwa muszą wyznaczyć granice wcześniej, zanim system nauczy się działać bez pytania. Wojna Chin z wiarą w epoce cyfrowej przypomina, że najważniejszym polem walki nie jest terytorium, lecz wnętrze człowieka. Państwo, które śledzi ciało, chce przewidywać sumienie. Państwo, które kontroluje płatności, pragnie dyscyplinować wybory. Państwo, które filtruje informacje, dąży do zarządzania wyobraźnią. Państwo obserwujące spotkania chce osłabić wspólnotę, a profilujące dzieci – przejąć przyszłość. To już nie jest tradycyjna policja polityczna. To system produkcji posłuszeństwa.

Odpowiedź świata nie może więc ograniczać się do oburzenia po kolejnych raportach. Potrzebna jest polityka technologicznej odpowiedzialności. Państwa demokratyczne powinny traktować eksport narzędzi nadzoru do reżimów represyjnych jako problem bezpieczeństwa i praw człowieka. Firmy muszą być zobowiązane do realnej oceny ryzyka, a nie tylko do składania deklaracji. Uczelnie powinny weryfikować partnerstwa badawcze w obszarach wrażliwych, a inwestorzy wycofywać kapitał z podmiotów powiązanych z prześladowaniami.

Organizacje religijne muszą zrozumieć, że obrona wolności wiary w XXI wieku wymaga biegłości technologicznej. Pastor, imam, lama, rabin, mnich czy świecki obrońca praw człowieka nie walczą już tylko o świątynię – walczą także o dane. Współczesna wojna z wiarą jest zatem wojną o infrastrukturę wolności. Bez prywatności nie ma sumienia. Bez wolnej komunikacji nie ma wspólnoty. Bez niezależnych źródeł informacji nie ma przekazu. Bez możliwości przemieszczania się nie ma zgromadzenia. Bez bezpiecznego pieniądza brakuje wsparcia dla prześladowanych, a bez ochrony danych znika azyl wewnętrzny. W epoce cyfrowej prawa religijne są nierozerwalnie związane z prawami technologicznymi. Kto broni wolności sumienia, musi bronić także prywatności, szyfrowania, przejrzystości algorytmów, ograniczeń biometrii i odpowiedzialności

korporacji. W przeciwnym razie będzie bronił świątyni, zostawiając państwu klucze do wszystkich drzwi.

Trzeba powiedzieć rzecz najprostszą: KPCh boi się wiary, ponieważ tworzy ona przestrzeń, której kamera nie potrafi całkowicie podbić. Może zobaczyć twarz, ale nie zawsze dostrzeże modlitwę. Może zarejestrować spotkanie, lecz nie musi zrozumieć głębszego sensu. Może śledzić przelew, ale nie zmierzy nadziei. Może usunąć tekst, lecz nie zniszczy pamięci, jeśli została przekazana. Może sklasyfikować człowieka jako ryzyko, ale nie odbierze mu automatycznie godności.

Cyfrowy totalitaryzm jest potężny, lecz nie wszechmocny. Jego obsesja kontroli ujawnia lęk. A tam, gdzie władza panicznie boi się sumienia, ono pozostaje siłą polityczną – choćby było zamknięte w celi, schowane w telefonie bez sieci albo wypowiedziane szeptem przy kuchennym stole.

Ekonomia bierności Zachodu: gdy prawa człowieka przegrywają z rachunkiem kwartalnym

Po opisaniu obozu, więzienia, klasztoru, kościoła domowego i cyfrowej infrastruktury nadzoru trzeba zejść do miejsca mniej dramatycznego, lecz być może bardziej kompromitującego: do bilansu. Współczesna wojna Chin z wiarą nie trwa wyłącznie dlatego, że Komunistyczna Partia Chin dysponuje policją, więzieniami, kamerami, algorytmami, szkołami reedukacyjnymi i aparatem propagandy.

Ekonomia bierności i koszt moralny zysków

System ten trwa także dlatego, że świat zewnętrzny przez lata dostarczał mu kapitału, technologii, rynków i prestiżu, a także milczenia, półprawd i eleganckiego języka "zaangażowania". Represja potrzebuje pałki, ale nowoczesna represja lubi też giełdę. Potrzebuje funkcjonariusza, lecz potrzebuje również inwestora. Potrzebuje cenzora, ale potrzebuje także studia filmowego, które samo wytnie niewygodną scenę. Potrzebuje obozu, ale potrzebuje globalnego konsumenta, który nie pyta, kto szył, składał, sortował, wydobywał, programował i milczał. Ekonomia bierności Zachodu polega na tym, że wartości są deklarowane jako fundament, ale kalkulowane jako koszt. Wolność religijna, godność osoby, prawa mniejszości, zakaz pracy przymusowej, ochrona dzieci, wolność słowa, prawo do azylu i sprzeciw wobec tortur funkcjonują w oficjalnym języku demokracji jako zasady.

Jednak w chwili, gdy zasady te zaczynają naruszać dostęp do rynku chińskiego, stabilność łańcuchów dostaw, cenę komponentów, przychody z dystrybucji filmów, sprzedaż butów sportowych, rentowność funduszy indeksowych albo ambicje technologiczne, nagle odkrywa się

"złożoność". Złożoność jest oczywiście realna, ale bywa też pięknym słowem na moralne odwlekanie decyzji. W dyplomacji i biznesie niejedno sumienie zostało uśpione kołysanką o złożoności.

Analiza wskazuje wprost na gospodarcze fundamenty bierności Zachodu wobec "wojny z wiarą" w Chinach. Wymienia korporacje, instytucje finansowe, sport, Hollywood, NBA, Apple, Teslę, BlackRock, JPMorgan Chase oraz szerzej – zachodni kapitał, który w imię dostępu do rynku i zysków milczy wobec represji. To nie jest łatwy antykorporacyjny refren, lecz poważna analiza współczesnego współudziału strukturalnego. Nie każdy inwestor w Chinach jest oprawcą. Nie każda firma działająca na tym rynku wspiera prześladowania, a nie każda zależność handlowa jest zbrodnią. Istnieje jednak granica, za którą zwykła obecność gospodarcza przechodzi w legitymizację, finansowanie ryzyka lub korzystanie z systemu, który łamie człowieka. Problem Zachodu polega na tym, że tę granicę przez lata przesuwano tak długo, aż stała się niemal niewidoczna.

W przypadku Sinciangu granica ta przybiera postać łańcuchów dostaw i pracy przymusowej. Amerykańska ustawa Uyghur Forced Labor Prevention Act ustanowiła domniemanie, że towary wytworzone w całości lub częściowo w Sinciangu albo przez wskazane podmioty są objęte zakazem importu do USA, chyba że importer wykaże brak pracy przymusowej. Departament Stanu USA w 2025 roku nadal przedstawiał UFLPA jako jedno z narzędzi przeciwdziałania wprowadzaniu na rynek amerykański dóbr powiązanych z pracą przymusową w Sinciangu. Z kolei Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego USA w aktualizacji strategii UFLPA z sierpnia 2025 roku przypominał, że towary wyprodukowane, wydobyte lub wytworzone w Sinciangu albo przez podmioty z listy UFLPA są objęte zakazem wjazdu do USA, a egzekwowanie prawa obejmuje kolejne sektory podwyższonego ryzyka.

Oznacza to, że problem nie jest już tylko przedmiotem raportów moralnych; stał się kwestią ceł, zatrzymań towarów, ryzyka prawnego i odpowiedzialności importerów. To bardzo ważny moment: prawa człowieka zaczynają mówić językiem granicy celnej. Można żałować, że dopiero w ten sposób stają się słyszalne dla części biznesu, ale taka jest rzeczywistość. Dopóki prześladowania pozostają w sferze etycznych apeli, wiele firm odpowiada pięknym językiem troski. Gdy jednak przechodzą w ryzyko zatrzymania kontenera, kary, sankcje, spory prawne i straty reputacyjne, nagle wzrasta zainteresowanie "mapowaniem łańcucha dostaw". To cyniczne, ale pouczające. Niektóre sumienia budzą się dopiero wtedy, gdy dzwoni dział prawny.

Problem łańcuchów dostaw jest jednak trudniejszy niż prosta identyfikacja jednego winnego zakładu. Współczesna produkcja jest wielowarstwowa: surowce, półprodukty, komponenty, poddostawcy, pośrednicy, spółki zależne, relokacje, mieszanie materiałów, certyfikaty, audyty, transport i reeksport. Towar może opuścić Sinciang, zostać przetworzony gdzie indziej, trafić do

kolejnego kraju, wejść w skład produktu końcowego i dopiero potem pojawić się w zachodnim sklepie jako neutralny przedmiot. Konsument widzi koszulkę, telefon, panel, część samochodu, baterię, zabawkę albo element instalacji.

Nie widzi strachu. Nie widzi obozu. Nie widzi transferu pracy. Nie widzi rodziny pod nadzorem. Globalizacja daje rzeczom długą drogę i krótką pamięć. Dlatego należy odrzucić wygodne zdanie: "nie wiedzieliśmy". W wielu przypadkach prawdziwsze jest: "nie chcieliśmy wiedzieć dostatecznie głęboko". Brak wiedzy bywa skutkiem braku narzędzi, ale często jest po prostu wynikiem braku woli.

Iluzja audytów i rytualizm compliance w systemach represji

Kiedy firma operuje w regionie wysokiego ryzyka, a następnie argumentuje, że audyt nie wykazał problemów, należy zapytać, czy taka kontrola w warunkach państwa policyjnego ma w ogóle sens. Pracownik, którego rodzina może ucierpieć za szczerość, nie powie audytorowi prawdy. Lokalny poddostawca zależny od państwa nie ujawni pełnych danych. Dokumentacja będzie poprawna, bo została starannie przygotowana pod kontrolę. W systemie strachu papier bywa najposłuszniejszym pracownikiem.

Stąd rośnie znaczenie regulacji wymuszających realną odpowiedzialność firm. Jak Reuters opisywał w czerwcu 2026 roku, USA, Europa i Wielka Brytania stosują różne instrumenty przeciw towarom wytwarzanym z użyciem pracy przymusowej: USA wykorzystują m.in. UFLPA oraz mechanizmy blokowania importu na podstawie sekcji 307 ustawy taryfowej; Wielka Brytania opiera się głównie na obowiązkach transparentności wynikających z Modern Slavery Act, natomiast Unia Europejska przyjęła rozporządzenie zakazujące produktów pracy przymusowej, które ma wejść w życie 14 grudnia 2027 roku.

Ten krajobraz regulacyjny dowodzi, że świat powoli zaczyna rozumieć problem – ale pokazuje też, jak późno to robi. Ofiary zwykle nie mają luksusu czekania do 2027 roku. Same przepisy jednak nie wystarczą. Biznes wykazuje ogromną zdolność adaptacji do formalnych wymogów; potrafi generować raporty, polityki, kodeksy i certyfikaty. Potrafi stworzyć całe imperium słów: due diligence, compliance, ESG, human rights policy, supplier code of conduct czy grievance mechanism. Wszystko to może być potrzebne, ale może też stać się rytuałem oczyszczenia bez zmiany praktyki. Jeżeli due diligence kończy się na dokumencie, a nie na rezygnacji z ryzykownego

dostawcy, jest tylko elegancką spowiedzią bez pokuty. A spowiedź bez pokuty, jak wiadomo, ma słabą wartość zbawczą nawet w biznesie.

Ekonomia bierności: kapitał i kultura wspierające opresję

Drugim wielkim obszarem ekonomii bierności jest technologia. Wcześniej mówiliśmy o kamerach, rozpoznawaniu twarzy i cyfrowych systemach kontroli. Teraz należy zadać pytanie: kto to wszystko buduje, finansuje i dostarcza? Kto szkoli, publikuje badania, inwestuje i normalizuje obecność w ekosystemie nadzoru? Nie chodzi wyłącznie o chińskie firmy, lecz o globalny obieg kapitału i wiedzy. Jeśli zachodnie instytucje inwestują w spółki powiązane z chińskim aparatem wojskowym lub systemami inwigilacji, jeśli fundusze indeksowe obejmują podmioty wysokiego ryzyka, a uczelnie prowadzą współpracę badawczą bez kontroli nad końcowym zastosowaniem wyników – wolny świat może w ten sposób zasilać narzędzia, które później ograniczają wolność.

W 2024 roku komisja Izby Reprezentantów USA ds. Komunistycznej Partii Chin opublikowała raport krytykujący amerykańskie instytucje finansowe za kierowanie miliardów dolarów do chińskich spółek powiązanych z naruszeniami praw człowieka i rozwojem potencjału militarnego ChRL. Dokument wskazywał m.in. na BlackRock i MSCI oraz mechanizmy indeksowe, które ułatwiają przepływ kapitału do takich podmiotów. Z kolei w lutym 2025 roku siedemnastu republikańskich prokuratorów generalnych stanów USA zarzuciło dużym zarządzającym aktywami, w tym BlackRock i State Street, niedostateczne ujawnianie ryzyk geopolitycznych i praw człowieka związanych z inwestycjami w Chinach. Oczywiście źródła te mają swój kontekst polityczny, a spór o Chiny bywa elementem wewnętrznej wojny partyjnej w USA. Jednak polityka nie unieważnia pytania zasadniczego: czy inwestorzy detaliczni i instytucjonalni wiedzą, co finansują poprzez pozornie neutralne indeksy?

Fundusz indeksowy wydaje się moralnie niewinny, bo działa automatycznie. Kupuje koszyk akcji, śledzi rynek, nie wygłasza przemówień. Nie projektuje obozów, nie cenzuruje kazań i nie bije więźniów. Ale kapitał nie jest bezcielesny. Jeśli płynie do spółek wspierających aparat nadzoru lub systemy opresji, staje się częścią ich możliwości działania. Automatyzacja inwestycji nie znosi odpowiedzialności; przeciwnie – może ją rozproszyć tak skutecznie, że nikt nie czuje się winny: zarządzający wskaże na indeks, indeks na metodologię, inwestor na swoją emeryturę, a regulator na wolny rynek. W tym czasie ofiara widzi tylko, że kamera działa.

Trzecim obszarem jest kultura popularna i rozrywka. Hollywood bywa tu postrzegane jako „cenzor na zlecenie" Pekinu, podobnie jak NBA, która łączy progresywną retorykę w USA z milczeniem wobec represji w Chinach. W tym przypadku nie chodzi tylko o pieniądze, ale o symboliczną kapitulację. Hollywood sprzedaje światu obrazy odwagi i walki z tyranią, by w kontakcie z rynkiem autorytarnym dostosować treść do oczekiwań cenzury. To nie jest drobna hipokryzja branżowa, lecz produkcja wyobraźni politycznej, która na ekranie kocha rebeliantów, a w biznesplanie woli nie drażnić imperium.

Cenzura rynkowa jest szczególnie skuteczna, bo nie wygląda jak nakaz państwowy. Scenarzysta sam wycina wątek, producent usuwa flagę lub odniesienie do Tybetu, Tajwanu czy Ujgurów. Studio nazywa to „lokalizacją" lub „wrażliwością kulturową". Rynek zamienia cenzurę w przewidywanie – decydenci po prostu znają cenę braku pieczątki. Tak autorytaryzm wchodzi do wolnej kultury tylnymi drzwiami: nie przez zakaz, lecz przez arkusz przychodów.

Sport działa podobnie. NBA i wielkie marki sportowe chętnie angażowały się w spory społeczne na Zachodzie, budując wizerunek moralnych liderów, jednak wobec Chin wykazywały ostrożność lub komunikacyjny brak kręgosłupa. Przykład Enesa Kantera Freedoma jest tu symboliczny. Sportowiec mówiący o Ujgurach i Xi Jinpingu zapłacił wysoką cenę w środowisku, które potrafi mówić o odwadze tylko wtedy, gdy nie grozi ona utratą rynku. Jego pytanie o bliskich w obozach koncentracyjnych trafia w sedno: moralność bez konkretnej empatii jest tylko autopromocją.

Nie chodzi o to, by wymagać od każdego aktora czy koszykarza kompetencji geopolityka. Chodzi o to, że instytucje kultury i sportu nie mogą sprzedawać heroicznego języka wolności, a jednocześnie zachowywać się tak, jakby ta wolność kończyła się na chińskiej granicy dystrybucji. Jeśli zawodnik może mówić o sprawiedliwości rasowej w USA, ale milczy o Ujgurach z powodu sponsorów, to nie mamy uniwersalnej moralności. Mamy moralność z geoblokadą. Jeśli film potępia fikcyjnego tyrana, ale boi się realnego, to kino nie jest odważne. Jest dobrze oświetlonym tchórzem.

Czwarty obszar to firmy technologiczne i producenci sprzętu. Apple służy tu za przykład zależności od chińskich łańcuchów dostaw i ugięcia przed wymogami Pekinu. Należy zachować równowagę: korporacje publikują raporty o prawach człowieka i audytach, a Apple w raporcie z 2025 roku deklaruje respektowanie międzynarodowych standardów. Jednocześnie organizacje takie jak China Labor Watch oraz media w latach 2025–2026 nadal zgłaszały trudne warunki pracy w zakładach Foxconn. Sam ten spór obnaża istotę problemu: im bardziej strategiczna jest zależność od Chin, tym trudniej oddzielić etyczne deklaracje od realnej odporności na presję autorytarnego państwa. Dla gigantów technologicznych Chiny były przez lata jednocześnie fabryką, rynkiem, partnerem i cenzorem.

Ekonomia bierności i zarządzanie oburzeniem Zachodu

Ta kombinacja jest moralnie toksyczna. Gdy państwo, w którym produkujesz, jest jednocześnie rynkiem zbytu i organem regulacyjnym mogącym ukarać twoją firmę, powstaje ogromna skłonność do uległości. Każda decyzja dotycząca aplikacji, szyfrowania, danych użytkowników, filtracji treści, lokalizacji serwerów czy dostępu do sklepów z oprogramowaniem – a nawet publiczne wypowiedzi kierownictwa – staje się de facto decyzją polityczną. Firma może deklarować neutralność, lecz w starciu z państwem, które nie uznaje neutralności społeczeństwa, taka postawa jest jedynie iluzją.

Piątym obszarem jest konsumpcja. Łatwo oskarżać prezesów, fundusze inwestycyjne, ligi sportowe czy polityków; znacznie trudniej spojrzeć na własny koszyk zakupowy. Zachodni konsument nie jest tylko ofiarą braku przejrzystości – jest także beneficjentem taniości. Oczywiście jednostka nie dysponuje narzędziami, by samodzielnie prześwietlić wszystkie łańcuchy dostaw; to zadanie dla państw, regulatorów i organizacji kontrolnych.

Kultura konsumpcyjna budowała jednak przez lata przekonanie, że niska cena i natychmiastowa dostępność są prawem niemal naturalnym. Tymczasem za zbyt tanią rzecz zawsze ktoś płaci. Jeśli nie konsument, to pracownik. Jeśli nie w formie wynagrodzenia, to utratą wolności. A jeśli nie wolnością wprost, to życiem w strachu. To właśnie oznacza „dobro interesów” w kontekście niniejszego eseju. Interes bywa tu przedstawiany jako racjonalność, podczas gdy aksjologia sprowadzana jest do roli emocji.

Polityk mówi: musimy być realistami. Prezes: musimy chronić udziałowców. Konsument: muszę kupować rozsądnie. Dyplomata: musimy utrzymać kanały dialogu. Uczelnia: musimy rozwijać współpracę. Studio filmowe: musimy brać pod uwagę globalną publiczność. Każde z tych zdań, rozpatrywane osobno, może brzmieć rozsądnie. Razem jednak tworzą wielki mur usprawiedliwień, za którym ginie człowiek.

Interes nie jest zły sam w sobie. Staje się taki, gdy przejmuje funkcję najwyższego dobra – wtedy rynek staje się teologią, a zysk bożkiem bardzo zazdrosnym. Ekonomia bierności operuje również poprzez selektywną widzialność. Ofiary represji w Chinach stają się widoczne tylko wtedy, gdy pasują do aktualnej agendy politycznej; znikają, gdy przeszkadzają interesom. Ujgurzy mogą służyć za argument w sporze z Pekinem, lecz bywają zapominani podczas negocjacji handlowych. Tybet może być pięknym symbolem duchowości, ale znika z rozmów na wysokim szczeblu. Falun Gong uznaje się za zbyt kontrowersyjne, więc łatwiej je pominąć. Chrześcijanie pojawiają się w dyskursie środowisk religijnych, lecz kwestia Watykanu komplikuje prosty przekaz.

W rezultacie ofiary są wyciągane i chowane niczym karty w dyplomatycznej talii. To forma przemocy symbolicznej: cierpienie uznaje się za użyteczne tylko wtedy, gdy wpisuje się w strategię. Koniunkturalizm demokracji polega więc nie tylko na milczeniu, ale na zarządzaniu oburzeniem. Oburzenie jest dawkowane. Zaostrza się, by wysłać sygnał; łagodnieje, by podpisać umowę. Jest głośne w parlamencie, lecz cichsze w delegacjach gospodarczych. Wyraźne w kampanii, miękkie w rządzeniu. Moralne w kraju, pragmatyczne za granicą.

Autorytarne państwa doskonale to obserwują. Wiedzą, że demokracje cierpią na krótką pamięć, są podzielone i zależne od opinii publicznej. Wystarczy przeczekać falę oburzenia, zaoferować rynek, zagrozić retorsją lub skusić inwestycją. Sumienie demokracji bywa sezonowe. Pekin potrafi czytać kalendarz.

Iluzja liberalizującego wpływu handlu i ekonomia bierności

Największym błędem Zachodu było przekonanie, że handel automatycznie zliberalizuje Chiny. Teoria brzmiała kusząco: rynek stworzy klasę średnią, która zażąda praw, internet rozszczelni cenzurę, a globalizacja wymusi przestrzeganie reguł i wciągnie Pekin w porządek międzynarodowy. Handel częściowo zmienił Chiny, ale Chiny zmieniły też handel.

Zamiast prostego marszu ku liberalizacji, otrzymaliśmy model kapitalizmu autorytarnego, w którym partia korzysta z rynku, nie oddając politycznej kontroli. Co więcej, światowe korporacje nauczyły się funkcjonować w tym układzie. To nie tylko Chiny przyjęły kapitalizm – to kapitalizm przyjął chińską cenzurę jako koszt prowadzenia działalności. Sam Brownback, zgodnie z notatką źródłową, przyznaje się do błędu wynikającego z dawnej wiary w liberalizujący efekt handlu i poparcia dla amerykańskiej ustawy normalizującej relacje handlowe z Chinami. To wyznanie znaczy więcej niż osobista korekta poglądów; sygnalizuje upadek całej epoki geopolitycznej. Przez lata Zachód wierzył, że wystarczy włączyć autorytaryzm do rynku, aby stał się mniej opresyjny. Tymczasem autorytaryzm nauczył się korzystać z rynku, by stać się nowocześniejszym, bogatszym i bardziej odpornym na presję. Powieszenie kapitalistów na sznurze, który sami sprzedadzą – maksyma przypisywana Leninowi, przywołana w notatce źródłowej – brzmi dziś jak mroczny komentarz do globalnych łańcuchów dostaw.

Należy jednak uważać, by nie popaść w prostą demonizację handlu. Izolacja gospodarcza nie zawsze poprawia sytuację praw człowieka; handel może przecież tworzyć kontakty, wymianę wiedzy i kanały wpływu, a sankcje często uderzają w zwykłych ludzi.

Decoupling, czyli rozłączanie gospodarek, jest kosztowny i w krótkim okresie częściowo nierealistyczny. Fałszywą alternatywą jest jednak twierdzenie, że wybieramy jedynie między całkowitą izolacją a moralnie ślepym handlem. Istnieje trzecia droga: handel warunkowany, przejrzysty, obłożony due diligence, sankcjami za pracę przymusową i zakazami technologii represyjnych, oparty na ochronie sygnalistów, kontroli inwestycji oraz realnej odpowiedzialności zarządów za naruszenia. Problem w tym, że taka droga wymaga wysiłku, a moralna leniwość jest jednym z najbardziej niedocenianych motorów globalizacji.

Ekonomia bierności ma również wymiar prawny. Przez lata globalne prawo handlowe było silniejsze niż prawo pracy i praw człowieka. Towary płynęły sprawnie, kapitał szybko, a arbitraż inwestycyjny działał energicznie; tymczasem ofiary pracy przymusowej, tortur czy prześladowań religijnych napotykały mur jurysdykcji, brak dowodów i polityczną niechęć. Świat zbudował autostrady dla kapitału i ścieżki błotne dla sprawiedliwości. Obecne próby naprawy tego stanu za pomocą regulacji o należytej staranności są spóźnione. Ta asymetria nie jest przypadkowa: to, co służy zyskowi, zwykle otrzymuje infrastrukturę szybciej niż to, co służy godności.

System ESG, który miał wprowadzać etykę do inwestycji, w sprawie Chin często okazał się niewystarczający. Firmy i fundusze deklarują troskę o prawa człowieka czy ład korporacyjny, a jednocześnie utrzymują ekspozycję na rynki i podmioty, których ryzyka w obszarze praw człowieka są rażące. Nie oznacza to, że ESG jest z definicji bezużyteczne, lecz że bez odwagi politycznej i twardych kryteriów staje się jedynie językiem reputacyjnego makijażu. A makijaż na twarzy systemu pracy przymusowej wygląda szczególnie niesmacznie.

W styczniu 2026 roku BlackRock opublikował materiał o podejściu do korporacyjnych ryzyk praw człowieka, wskazując, że firmy skutecznie nimi zarządzające budują lepsze relacje w łańcuchu wartości i lepszą reputację. Taki język jest sam w sobie rozsądny, ale obnaża ograniczenie myślenia finansowego: prawa człowieka zostają tu przedstawione jako ryzyko dla wartości firmy, a nie jako granica, której nie wolno przekroczyć nawet wtedy, gdy byłoby to opłacalne.

Język zarządzania jako narzędzie maskowania zła

To subtelna, lecz fundamentalna różnica. Jeśli tortura staje się problemem tylko dlatego, że szkodzi reputacji, oznacza to, że wizerunek postawiono wyżej niż ofiarę. W porządku moralnym powinno być odwrotnie: reputacja cierpi, ponieważ naruszono godność człowieka, a nie dlatego, że źle zarządzono narracją. Ekonomia bierności Zachodu wobec Chin jest zatem także kryzysem hierarchii pojęć. „Ryzyko” zastępuje „zło”. „Reputacja” zastępuje „odpowiedzialność”. „Ekspozycja” zastępuje „współudział”. „Złożoność” zastępuje „decyzję”. „Zaangażowanie” zastępuje „sprzeciw”.

„Dialog” zastępuje „presję”. „Lokalne uwarunkowania” zastępują „prawa człowieka”. W ten sposób język zarządzania przykrywa język moralny. Nie trzeba negować zbrodni – wystarczy przepisać ją na język ryzyk operacyjnych. Excel nie płacze. Może dlatego tak dobrze znosi zło.

W relacjach z Chinami szczególnie groźna jest symbioza polityki i biznesu. Rządy demokratyczne często wahają się przed zaostrzeniem kursu, słysząc od przedsiębiorców ostrzeżenia o kosztach, utracie miejsc pracy, konkurencyjności czy inflacji i odwecie handlowym. Firmy z kolei argumentują, że działają w ramach obowiązującej polityki państw i prawa międzynarodowego. Politycy przerzucają odpowiedzialność na rynek, rynek na polityków, obaj na konsumentów, ci zaś na brak informacji – a ofiary zostają z pytaniem, kto właściwie ma odwagę cokolwiek zrobić. Odpowiedzialność rozproszona bywa doskonałym schronieniem dla tchórzostwa.

Nie chodzi jednak o żądanie natychmiastowego i całkowitego zerwania wszelkich relacji gospodarczych z Chinami; taki postulat byłby raczej manifestem niż strategią. Chodzi o przywrócenie hierarchii: istnieją obszary, w których relacje mogą trwać pod kontrolą, takie, które wymagają głębokiej przejrzystości i akceptacji ryzyka, oraz takie, z których trzeba się bezwzględnie wycofać. Praca przymusowa, technologie represji, biometryka służąca nadzorowi mniejszości, firmy powiązane z obozami, organy pobierane bez zgody czy cenzura wymuszana przez rynek – to nie są zwykłe „trudne warunki”. To czerwone linie. Jeśli czerwone linie są negocjowalne, przestają być liniami, a stają się jedynie dekoracją na mapie.

Państwa demokratyczne muszą zrozumieć, że zależność gospodarcza od Chin jest problemem bezpieczeństwa. Jeśli krytyka praw człowieka może zostać ukarana ograniczeniem eksportu, bojkotem, presją na firmy, zamknięciem rynku, kontrolą surowców lub kampanią propagandową, to zależność handlowa staje się instrumentem politycznego szantażu. Wolność słowa w demokracji może być ograniczana nie przez własną cenzurę państwową, lecz przez strach przed reakcją obcej potęgi. To właśnie wydarzyło się w wielu sektorach kultury, sportu i biznesu. Gdy firma w wolnym kraju milczy o Ujgurach z obawy przed Pekinem, chińska cenzura już działa – tyle że poza granicami Chin.

Ekonomia bierności i moralna zdrada Zachodu

Ekonomia bierności dotyczy także uniwersytetów i świata eksperckiego. Chińskie finansowanie, partnerstwa, dostęp do badań, współpraca technologiczna, programy wymiany oraz presja wywierana na studentów z Chin tworzyły przez lata środowisko, w którym wiele instytucji akademickich unikało tematów drażliwych. Nie chodzi o to, by odcinać naukę od kontaktów z chińskimi badaczami, którzy często sami funkcjonują w opresyjnym systemie. Chodzi o to, by

uniwersytet nie oddawał swojej autonomii w zamian za dostęp, grant czy spokój. Akademia bez wolności badania jest fabryką dyplomów z biblioteką. Jeśli instytucja nie potrafi mówić o obozach, cenzurze i prześladowaniach religijnych z lęku przed utratą partnerstwa, zdradza własną metodę: poszukiwanie prawdy.

Nie wolno pominąć kluczowego kontrargumentu: czy presja gospodarcza faktycznie pomaga ofiarom? Czy nie zamyka raczej kanałów kontaktu? Czy sankcje nie wzmacniają nacjonalistycznej propagandy Pekinu, a wycofanie firm nie pogarsza sytuacji pracowników? Czy pełna konfrontacja nie prowadzi do nowej zimnej wojny?

To pytania fundamentalne. Odpowiedź brzmi: tak, źle zaprojektowana presja może zaszkodzić. Sankcje muszą być precyzyjne, oparte na dowodach, skoordynowane i powiązane z ochroną uchodźców, wsparciem dla społeczeństwa obywatelskiego, kontrolą technologii oraz odpowiedzialnością biznesu. Jednak fakt, że presja musi być mądra, nie oznacza, że bierność jest przejawem mądrości. Niekiedy bierność staje się po prostu sankcją nałożoną na ofiary w imię komfortu sprawców.

Zachód lubi twierdzić, że nie może "moralizować" wobec innych cywilizacji. To zdanie bywa rozsądne, gdy ostrzega przed imperialną pychą, lecz staje się haniebne, gdy służy za pretekst do milczenia o torturach. Zakaz pracy przymusowej nie jest kaprysem Zachodu. Zakaz tortur nie jest lokalnym obyczajem liberalnym, a wolność sumienia nie luksusem białych salonów. Prawo matki do dziecka, mnicha do mistrza, wiernego do modlitwy czy człowieka do niebycia źródłem organów – to nie są kwestie "różnic kulturowych". Kultura nie jest immunitetem dla oprawcy. Relatywizm, który kończy się przywilejem silnego, nie jest pokorą. Jest elegancką formą zdrady.

Ekonomia bierności Zachodu wobec Chin pokazuje zatem, że prawdziwy konflikt nie przebiega wyłącznie między demokracją a autorytaryzmem. Przebiega on również wewnątrz samych demokracji: między językiem wartości a praktyką interesu. Państwo może posiadać konstytucję, wybory, sądy i wolne media, a jednocześnie w polityce zagranicznej zachowywać się jak kupiec, który widzi wszystko oprócz człowieka. To nie oznacza, że handel jest niemoralny; oznacza to, że handel potrzebuje granic. Rynek pozbawiony granic moralnych jest zdolny do wszystkiego, gdyż zawsze znajdzie popyt, podaż i uzasadnienie. Jeśli człowiek staje się kosztem produkcji, rynek wychodzi poza cywilizację. Właśnie tutaj maksymy nabierają szczególnej siły.

Konieczność aktywnego przeciwstawienia się eksportowi autorytaryzmu

"Albo świat zmieni Chiny, albo Chiny zmienią świat". To zdanie nie oznacza naiwnej krucjaty ani marzenia o narzuceniu zachodniego modelu siłą. Oznacza raczej, że systemy polityczne oddziałują na siebie poprzez handel, technologię, kapitał, kulturę i normy. Jeśli demokracje nie potrafią uzależnić relacji gospodarczych od przestrzegania praw człowieka, autorytaryzm nauczy je uzależniać wolność od dostępu do rynku. Jeśli Zachód nie eksportuje standardów, importuje cenzurę. Jeśli sam nie wyznacza granic, granice wyznaczy Pekin. Świat nie stoi w miejscu; normy przemieszczają się wraz z kapitałem. Odpowiedzialność Zachodu powinna zatem obejmować konkretne działania: po pierwsze, realne egzekwowanie zakazów importu dóbr wytworzonych w ramach pracy przymusowej, wraz z wprowadzeniem domniemań prawnych tam, gdzie dostęp do dowodów jest systemowo utrudniony. Po drugie, obowiązkową i głęboką należytą staranność w łańcuchach dostaw, która nie opierałaby się na naiwnych audytach przeprowadzanych w państwie policyjnym. Po trzecie, zakazy eksportu technologii nadzoru do podmiotów wysokiego ryzyka. Po czwarte, pełną przejrzystość inwestycji funduszy w spółki powiązane z aparatem represji. Po piąte, ochronę sygnalistów, uchodźców i diaspor przed transnarodową presją. Po szóste, odwagę środowisk kultury, sportu i akademii w mówieniu o Chinach bez autocenzury. Po siódme, sankcje personalne wobec funkcjonariuszy odpowiedzialnych za prześladowania. Po ósme, wsparcie dla niezależnych mediów i dokumentowania zbrodni.

To nie jest program wojny z Chinami, lecz program odmowy współpracy ze zniewoleniem. Najtrudniejsza będzie jednak zmiana mentalności. Zachód musi przestać traktować prawa człowieka jako koszt zewnętrzny. Musi uznać, że wolność religijna Ujgurów, Falun Gong, Tybetańczyków i chrześcijan nie jest problemem pobocznym wobec bezpieczeństwa, lecz jego integralną częścią. Państwo, które wewnątrz buduje system totalnej kontroli, na zewnątrz nie będzie neutralnym partnerem normatywnym. Będzie eksportować swoje nawyki: cenzurę, presję, zależność, dyscyplinowanie korporacji, zastraszanie diaspor i model technologicznej inwigilacji. Kto ignoruje wewnętrzne represje potęgi, prędzej czy później odczuje ich zewnętrzne skutki. Sumienie i bezpieczeństwo nie są przeciwieństwami; w relacjach z Chinami stają się jednym problemem. Nie chodzi tu jednak o nienawiść do państwa chińskiego ani do samych Chińczyków – to rozróżnienie musi być wyraźne.

Krytyka KPCh nie jest krytyką chińskiej cywilizacji, narodu, kultury czy zwykłych obywateli. Przeciwnie, należy pamiętać, że ofiarami partii są przede wszystkim Chińczycy: chrześcijanie Han, praktykujący Falun Gong, prawnicy praw człowieka, dziennikarze, feministki, robotnicy, dysydenci,

rodziny więźniów, mieszkańcy Hongkongu oraz wszyscy ci, którzy pragnęliby żyć bez nieustannego nadzoru. Utożsamienie KPCh z Chinami jest jednym z sukcesów propagandy partii i Zachód nie powinien w tym pomagać. Obrona praw człowieka w Chinach to także obrona ludzi przed państwem, które zawłaszcza ich imię. Ekonomia bierności ma więc wymiar moralny, polityczny i antropologiczny. Moralny, bo dotyczy odpowiedzialności za cierpienie; polityczny, bo odnosi się do układu sił między demokracją a autorytaryzmem.

Polityczny koniunkturalizm i moralny współudział Zachodu

Wymiar antropologiczny tego zjawiska ukazuje, jak łatwo człowiek zostaje sprowadzony do funkcji: pracownika, konsumenta, więźnia, dawcy organów, rekordu danych czy ryzyka inwestycyjnego. Religia przypomina nam, że człowiek nie jest funkcją. Dlatego wojna z wiarą i Ekonomia bierności są ze sobą tak ściśle połączone. Totalitaryzm dąży do podporządkowania człowieka politycznie; rynek bez granic może go podporządkować ekonomicznie. Ich sojusz stanowi jedno z najgroźniejszych zjawisk współczesności.

Należy powrócić do obrazu, od którego zaczęliśmy cały esej: do twarzy. Mihrigul Tursun, Wang Chunyan, Peter Xu, Arjia Rinpocze, Chen Jingjing i setki tysięcy anonimowych ludzi nie są „ryzykiem reputacyjnym". Są osobami. Ich cierpienie nie może być zmienną w kalkulacji wejścia na rynek. Jeśli demokracje liberalne nie potrafią obronić tej prostej prawdy, ich język praw człowieka stanie się pusty, a pusty język jest darem dla tyranów. Tyran nie musi zawsze wygrać z prawdą; wystarczy, że zostanie ona wypowiedziana tak cicho, aby nie zakłócić konferencji inwestorskiej. To koniunkturalizm demokracji i wielkich mocarstw: dyplomacja, która zna prawdę, ale mówi szeptem.

Bierność Zachodu wobec chińskiej wojny z wiarą nie wynika wyłącznie z chciwości korporacji. Byłoby zbyt wygodnie przerzucić całą winę na biznes, fundusze inwestycyjne, Hollywood, NBA, producentów elektroniki czy konsumentów polujących na niskie ceny. Za ekonomią milczenia stoi polityka milczenia. Za łańcuchami dostaw stoją łańcuchy decyzji. Za ostrożnością firm idzie ostrożność rządów. Za autocenzurą kultury stoi kalkulacja państw, które wiedzą, że Pekin potrafi karać za słowa, spotkania, rezolucje, sankcje i gesty symboliczne.

Trzeba powiedzieć jasno: problem Chin jest również problemem demokracji. Nie dlatego, że demokracje prześladują Ujgurów, Falun Gong, Tybetańczyków czy chrześcijan, lecz dlatego, że zbyt często wiedzą o tych represjach, a następnie wybierają język tak miękki, by przypadkiem nie

uszkodzić interesu. Koniunkturalizm demokracji ma kilka poziomów. Pierwszy jest dyplomatyczny: państwa publicznie deklarują troskę o prawa człowieka, lecz w relacjach dwustronnych ostrożnie dawkują presję. Drugi jest gospodarczy: rządy krytykują represje, jednocześnie zabiegając o handel i dostęp do chińskiego rynku. Trzeci jest strategiczny: mocarstwa potrzebują Chin w kwestiach klimatu, zadłużenia, bezpieczeństwa, relacji z Iranem, Koreą Północną czy Rosją oraz stabilności finansowej.

Czwarty poziom jest wewnątrzpolityczny: politycy chcą brzmieć moralnie przed własnymi wyborcami, ale nie zamierzają płacić ceny w postaci wzrostu cen, odwetu gospodarczego czy konfliktu z wpływowymi branżami. Piąty jest psychologiczny: elity demokratyczne wierzą, że każde zło da się złagodzić dialogiem, a każdą tyranię oswoić procedurą. To piękna wiara, dopóki nie zamienia się w religię bez cudów.

W źródłach powraca mocna teza, że Zachód stał się „wspólnikiem" Pekinu, przedkładając zyski, wygodę strategiczną i polityczny pragmatyzm nad bezpieczeństwo etyczne wolnego świata. Słowo „wspólnik" jest ostre i należy go używać ostrożnie. W sensie prawnym nie każde państwo handlujące z Chinami jest współsprawcą prześladowań. W wymiarze moralno-politycznym jednak współudział może przybrać formę nie tylko działania, lecz także zaniechania, legitymizacji i powtarzalnego milczenia mimo pełnej wiedzy. Jeśli władza totalna wie, że po kolejnym raporcie, świadectwie, zatrzymaniu biskupa czy kampanii asymilacyjnej świat najwyżej „wyrazi zaniepokojenie", otrzymuje sygnał, że koszt represji jest kontrolowalny. A polityka, podobnie jak biznes, liczy koszty.

Unia Europejska jest tu przykładem cywilizacji normatywnej, która często mówi lepiej, niż działa. UE dysponuje językiem praw człowieka, instrumentami sankcyjnymi i regulacjami dotyczącymi pracy przymusowej, a jednak pozostaje ogromnie zależna od relacji gospodarczych z Chinami, podczas gdy jej państwa członkowskie różnią się gotowością do konfrontacji.

Dialogi praw człowieka jako rytuał rozmywania odpowiedzialności

W 2025 roku UE informowała, że podczas 25. szczytu UE-Chiny podnosiła kwestie praw człowieka, odnotowując jednocześnie 40. rundę dialogu w tym zakresie, obejmującą także przypadki indywidualne. Delegatura UE w Chinach wskazywała, że rozmowy te odbyły się w czerwcu 2025 roku i były kontynuowane zarówno na szczycie, jak i na forach ONZ.

Na pierwszy rzut oka brzmi to jak aktywność. Pytanie jednak o skuteczność tych działań wobec państwa, które mistrzowsko potrafi zamieniać dialog w amortyzator presji. Dialog praw człowieka z Chinami jest konieczny, lecz łatwo przeobraża się w pusty rytuał: obie strony siadają do stołu, wygłaszają stanowiska, notują różnice i wydają komunikaty. Gdy UE mówi o prawach człowieka, Chiny odpowiadają zarzutami pod adresem Europy: rasizm, migranci, nierówności, przemoc policyjna czy islamofobia. Taką strategię Pekin zastosował również po dialogu w 2025 roku, odwracając ciężar rozmowy i oskarżając Europę o jej własne uchybienia.

Nie wszystkie chińskie kontrzarzuty są zmyślone; demokracje rzeczywiście mają swoje grzechy. Jednak funkcja tej odpowiedzi jest oczywista: ma ona rozmyć odpowiedzialność. Według tej logiki, jeśli każdy ma problemy, nikt nie ma prawa nikogo osądzać. To stara metoda: z prawdziwych słabości przeciwnika zrobić zasłonę dla własnego systemu przemocy. Demokracje muszą jednak przyjąć własną niedoskonałość bez rezygnacji z prawa do oceny innych. Europa i Stany Zjednoczone rzeczywiście borykają się z migracją, rasizmem, populizmem czy hipokryzją.

Różnica między państwem demokratycznym a totalitarnym nie polega jednak na tym, że pierwsze jest bezgrzeszne, a drugie grzeszy. Polega ona na istnieniu w demokracji mechanizmów krytyki: niezależnych sądów, wolnych mediów, organizacji społecznych, wyborów i protestów, które dają realną możliwość zmiany. W Chinach każda krytyka systemowa jest traktowana jako zagrożenie dla partii. Gdy Pekin mówi Europie: „wy też macie problemy", odpowiedź powinna brzmieć: „tak, mamy – i właśnie dlatego wiemy, jak ważne są wolne instytucje, których wy swoim obywatelom odmawiacie". Samokrytyka nie powinna prowadzić do moralnego paraliżu; wręcz przeciwnie, powinna budować większą wiarygodność.

Instrumentalizacja praw człowieka i kryzys solidarności religijnej

Stany Zjednoczone prowadzą wobec Chin politykę bardziej konfrontacyjną, jednak one również nie są wolne od koniunkturalizmu. Waszyngton oficjalnie uznał działania Pekinu wobec Ujgurów za ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości; utrzymuje sankcje, ograniczenia importowe, przeciwdziała pracy przymusowej i publikuje raporty o wolności religijnej. Departament Stanu w swoich opracowaniach konsekwentnie dokumentuje represje w Sinciangu i Tybecie oraz prześladowania chrześcijan i wyznawców Falun Gong; w raporcie za 2024 rok ponownie wskazał na ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości wobec Ujgurów i innych mniejszości w Sinciangu. Jest to język znacznie mocniejszy niż ten, którym posługują się wielu europejskich partnerów, ale USA patrzą na Chiny przede wszystkim przez pryzmat rywalizacji strategicznej.

Prawa człowieka są tu elementem polityki wobec przeciwnika, a nie zawsze konsekwentną zasadą stosowaną wobec wszystkich sojuszników. To słaby punkt amerykańskiej dyplomacji moralnej. Gdy prawa człowieka stają się twardym narzędziem wobec Chin, lecz są traktowane ostrożniej w relacjach z państwami użytecznymi strategicznie, Pekin może oskarżać Waszyngton o instrumentalizację. Oskarżenie to bywa cyniczne, ale nie zawsze bezpodstawne. Problem polega jednak na tym, że instrumentalizacja praw człowieka przez mocarstwa nie unieważnia cierpienia ofiar. Ujgur nie przestaje być prześladowany dlatego, że Ameryka ma własne interesy. Tybetańczyk nie traci prawa do języka dlatego, że Waszyngton rywalizuje z Pekinem. Praktykujący Falun Gong nie przestaje być więźniem sumienia dlatego, że geopolityka jest brudna. Należy jednocześnie krytykować instrumentalność mocarstw i bronić realności cierpienia. Dojrzała analiza potrafi utrzymać obie prawdy naraz; propaganda wybiera jedną, bo łatwiej nią machać jak flagą.

Szczególnie bolesnym elementem tej układanki jest milczenie lub ostrożność wielu państw muzułmańskich wobec losu Ujgurów. Znaczna część świata muzułmańskiego nie stanęła zdecydowanie w obronie swojej mniejszości w Chinach, ponieważ relacje gospodarcze i polityczne z Pekinem okazały się ważniejsze niż solidarność religijna. Ten zarzut nie jest wyłącznie retoryczny.

W 2022 roku grupa 50 państw wyraziła poważne zaniepokojenie sytuacją praw człowieka w Sinciangu po raporcie OHCHR, jednak wiele krajów muzułmańskich nie znalazło się wśród sygnatariuszy. Przeciwnie – liczne państwa rozwijające się i zależne od Chin popierały stanowisko Pekinu lub sprzeciwiały się „upolitycznianiu" praw człowieka. Eksperci od lat wskazują, że rządy muzułmańskie często reagują ostro na islamofobię Zachodu, lecz milczą w kwestii represji wobec Ujgurów, gdy sprawcą jest potęga gospodarcza. Trzeba to nazwać po imieniu: jest to kompromitacja politycznej solidarności religijnej. Oczywiście nie należy tu mylić społeczeństw muzułmańskich z ich rządami. Wielu muzułmanów na świecie solidaryzuje się z Ujgurami, działa w organizacjach, dokumentuje represje i protestuje.

Problem dotyczy państw i elit władzy, które kalkulują. Jeśli rząd potrafi głośno mówić o obronie islamu tam, gdzie przeciwnik jest słaby, ale milczy tam, gdzie przeciwnik finansuje infrastrukturę, handel, inwestycje i kredyty, to religijna retoryka okazuje się narzędziem polityki, a nie zasadą. Solidarność, która zależy od kursu walut, nie jest solidarnością. Jest transakcją w szatach pobożności.

Koniunkturalizm mocarstw i kryzys moralny instytucji

Turcja stanowi przypadek szczególny; łączy ją z Ujgurami więź etniczna, językowa i kulturowa, a przez lata Ankara była dla wielu uchodźców bezpieczną przystanią. Mimo to Turcja balansuje

między krytyką a relacjami gospodarczymi z Pekinem. W 2024 roku minister spraw zagranicznych Hakan Fidan podczas wizyty w Chinach odwiedził Urumczi i Kaszgar, gdzie wezwał władze do ochrony praw kulturowych Ujgurów, jednocześnie podkreślając poszanowanie integralności terytorialnej Chin oraz potrzebę rozwoju współpracy ekonomicznej. To klasyczny przykład dyplomacji balansującej: wypowiedzieć słowa o prawach człowieka tak, by nie zburzyć mostu handlowego. Można to uznać za roztropność. Można jednak zapytać, czy ofiary usłyszały w tym głos obrońcy, czy tylko szelest jedwabnego szlaku.

Organizacje międzynarodowe również ulegają presji. ONZ, która powinna być głównym forum rozliczania zbrodni, staje się areną walki o wpływy. Chiny budują koalicje państw zależnych lub niechętnych zachodniej dominacji, by skutecznie blokować krytykę. W 2022 roku Rada Praw Człowieka ONZ odrzuciła debatę nad raportem OHCHR dotyczącym Sinciangu, co stanowiło ogromne zwycięstwo Pekinu i porażkę ofiar. Nowsze doniesienia wskazują, że Chiny wykorzystują powiązane z państwem organizacje pozarządowe do wpływania na debatę w Genewie, monitorowania aktywistów i tłumienia krytyki. To proces kluczowy: autorytaryzm nie tylko łamie prawa człowieka u siebie, ale próbuje przekształcić sam język tych praw na poziomie międzynarodowym. Pekin dąży do tego, by suwerenność państwa przeważyła nad wolnością jednostki, by „nieingerencja" stała się tarczą dla prześladowań, a rozwój gospodarczy przykrył represje.

Koniunkturalizm mocarstw objawia się w tym, że każde z nich posiada własną listę „świętych wyjątków". USA mówią głośno o Chinach, lecz bywają ostrożne wobec swoich sojuszników. UE odwołuje się do wartości, ale rozprasza w partykularnych interesach państw członkowskich. Państwa muzułmańskie mówią o godności islamu, milcząc w sprawie Ujgurów. Watykan mówi o trosce duszpasterskiej, lecz w kwestii Chin wybiera dyplomatyczny szept. Z kolei kraje Globalnego Południa, odwołując się do antykolonializmu i podwójnych standardów Zachodu, czasem w imię tej słusznej krytyki osłaniają współczesny autorytaryzm Pekinu.

Każdy ma swój powód. Ofiary ponoszą skutki. Szczególna rola Watykanu wymaga osobnego i wyraźnego osądu. Stolica Apostolska ma prawo prowadzić dyplomację z Chinami, ma obowiązek troszczyć się o katolików żyjących pod reżimem, którzy mogliby ucierpieć wskutek nieprzemyślanych gestów, i posiada doświadczenie w negocjacjach z państwami wrogimi religii. Jednak kapitał moralny Watykanu nie opiera się na skuteczności negocjacyjnej, lecz na zdolności mówienia prawdy w imieniu sumienia. Tymczasem tajne lub półtajne porozumienie z Pekinem dotyczące nominacji biskupów, zawarte w 2018 roku i przedłużone w 2024 roku, pozostaje źródłem poważnych kontrowersji. Human Rights Watch uznał odnowienie tego paktu za moralnie

niebezpieczne, wzywając do jego ujawnienia, rewizji oraz silniejszej obrony prześladowanych katolików, w tym biskupów i kardynała Zena.

Trzeba powiedzieć to ostro: w sprawie Chin Watykan ryzykuje, że zostanie zapamiętany nie jako głos prześladowanych, lecz jako kancelaria cierpliwości wobec prześladowców. To ciężka konstatacja, ale nie wynika ona z antykatolickiej niechęci, lecz z wysokiego rozumienia roli Kościoła. Jeśli instytucja głosząca męczeństwo, świętość sumienia i prymat Boga nad Cezarem mówi wobec chińskich więźniów sumienia ostrożniej niż świeckie organizacje praw człowieka, pojawia się dysonans. Gdy kardynał Joseph Zen – człowiek Kościoła i krytyk porozumienia z Pekinem – staje się bardziej czytelnym symbolem obrony sumienia niż oficjalna dyplomacja watykańska, problem przestaje być wyłącznie medialny. Staje się eklezjologiczny. Pasterz nie może być słyszany słabiej niż sekretarz. Oczywiście Watykan może argumentować, że publiczne potępienia nie uwolnią biskupów, nie zabezpieczą sakramentów ani nie ochronią wspólnot, a wręcz mogą pogorszyć ich sytuację.

Koszty bierności i iluzja politycznego realizmu

Ten argument zasługuje na namysł, ale nie może służyć jako wieczne alibi. Po latach porozumienia należy zapytać o wymierne owoce: ilu biskupów odzyskało realną wolność? Czy katolicy podziemni czują się chronieni, czy raczej opuszczeni? Czy Pekin respektuje ducha umowy, czy wykorzystuje ją do całkowitego podporządkowania Kościoła? Czy papieskie milczenie wobec losu Ujgurów, Tybetańczyków, Falun Gong i chrześcijan jest ceną dialogu, czy już utratą prorockiego głosu? Dyplomacja pozbawiona rachunku sumienia staje się jedynie techniką przetrwania instytucji. Tymczasem Kościół nie istnieje po to, by trwać za każdą cenę, lecz by świadczyć o prawdzie – nawet wtedy, gdy ta psuje rozmowę.

Wielkie mocarstwa świeckie mierzą się z podobnym dylematem, choć operują bez języka teologii. Politycy chętnie mówią o „wartościach", jednak najwyżej cenią te, które są kompatybilne z interesem narodowym. Gdy wartości i interes idą w parze, moralność brzmi donośnie. Gdy się rozchodzą, moralność zaczyna chorować na chrypkę. Wobec Chin ta chrypka jest słyszalna od lat.

Państwa demokratyczne organizują dialogi, przyjmują rezolucje i publikują raporty, lecz jednocześnie unikają pełnej strategii kosztów. A bez realnych kosztów represje pozostają opłacalne. Totalitaryzm nie wzrusza się komunikatami; reaguje dopiero wtedy, gdy komunikat niesie za sobą konsekwencje. W tym miejscu należy zapytać o politykę sankcyjną. Sankcje personalne wobec sprawców represji, zakazy wizowe, zamrożenie aktywów, ograniczenia w eksporcie technologii, zakaz importu produktów pracy przymusowej, wykluczenie z zamówień publicznych czy śledzenie

przepływów kapitału – to instrumenty zdolne ograniczyć bezkarność. Muszą być jednak konsekwentne i skoordynowane. Jeśli jedno państwo nakłada restrykcje, a inne wypełnia lukę, Pekin po prostu uczy się obchodzić presję. Gdy sankcje mają charakter symboliczny, a handel strategiczny trwa niezakłócony, reżim traktuje je jak opłatę administracyjną za reputację. Jeśli zaś pomijają one sferę technologii i finansów, uderzają w cień, a nie w mechanizm.

Koniunkturalizm demokracji objawia się również w języku „realizmu". Realista powie: Chiny są zbyt ważne, by je izolować. To prawda. Powie: potrzebujemy Chin w kwestii klimatu, stabilności finansowej i bezpieczeństwa. To również prawda. Doda: konfrontacja może być kosztowna. Oczywiście. Jednak prawdziwy realizm powinien uwzględniać także koszt uległości. Jeśli Chiny eksportują system nadzoru, zastraszają diasporę, korumpują organizacje międzynarodowe, wymuszają autocenzurę w zamian za dostęp do rynku i pokazują innym autorytaryzmom, że represje się opłacają – wtedy bierność nie jest realizmem. Jest krótkoterminowym komfortem udającym strategię. Realizm, który ignoruje przyszłe koszty obecnej uległości, jest księgowością ślepca.

Represje wewnętrzne jako zagrożenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego

Prawdziwy realizm wymaga uznania, że wolność religijna i prawa człowieka są integralną częścią bezpieczeństwa międzynarodowego. Państwo, które niszczy niezależne wspólnoty u siebie, nie będzie szanowało autonomii grup za granicą, gdy tylko uzna je za zagrożenie. System kontrolujący religię za pomocą kamer i aplikacji naturalnie zacznie sprzedawać narzędzia inwigilacji innym. Reżim więżący pastorów i uciszający mnichów będzie wywierać presję na wydawnictwa, uczelnie, studia filmowe czy firmy w krajach demokratycznych. Państwo uczące swoich obywateli strachu, będzie próbowało eksportować ten strach do diaspor. To nie jest moralna poezja.

To opis konkretnych mechanizmów wpływu. W połączonym świecie represje wewnętrzne rodzą skutki zewnętrzne. Dlatego hasło Mike'a Pompeo, głoszące, że wojna Chin z wiarą jest kwestią bezpieczeństwa narodowego, należy odczytać szerzej niż tylko jako partyjną deklarację amerykańskiej polityki. Wolność religijna stanowi wskaźnik tego, czy państwo uznaje granice własnej władzy. Jeśli nie respektuje ich w sferze sumienia, nie będzie ich szanować w obszarze informacji, rynku, granic, umów czy organizacji międzynarodowych, gdy stawką stanie się interes partii. Kto niszczy wolność sumienia, dowodzi, że nie uznaje żadnej sfery za naprawdę niezależną. A partner, który nie akceptuje niezależności, zawsze pozostaje potencjalnym hegemonem.

Koniunkturalizm wielkich mocarstw ma również wymiar medialny. Uwagę przyciągają wydarzenia nagłe, spektakularne i bliskie geograficznie. Długotrwałe prześladowania religijne, zwłaszcza w zamkniętych regionach, trudniej utrzymać w centrum debaty. Ujgurzy pojawiają się w mediach, by po chwili zniknąć; Tybet wraca głównie przy rocznicach. Falun Gong przebija się rzadziej, bo jest tematem trudniejszym do oswojenia, natomiast chrześcijanie w Chinach stają się przedmiotem dyskusji głównie w kręgach religijnych lub prawoczłowieczych. Tymczasem reżim liczy właśnie na zmęczenie uwagi. Propaganda autorytarna nie musi przekonać świata, że problemu nie ma – wystarczy, że świat się znudzi. Nuda opinii publicznej jest cichym sojusznikiem represji.

Politycy w demokracjach reagują na zainteresowanie społeczne. Jeśli wyborcy nie naciskają, temat spada z agendy. Jeśli media nie pytają, minister nie odpowiada. Gdy biznes protestuje przeciw sankcjom głośniej niż obywatele przeciw obozom, decyzje przesuwają się w stronę biznesu. Dlatego obrona prześladowanych wymaga nie tylko dokumentacji, ale przede wszystkim podtrzymywania pamięci. To zadanie dla organizacji praw człowieka, diaspor, wspólnot religijnych, mediów, uniwersytetów i ludzi kultury. Pamięć jest polityczna. Zapomnienie również. Gdy ofiara znika z języka, sprawca odzyskuje teren.

Konieczność integracji praw człowieka z każdym obszarem współpracy

Na poziomie instytucjonalnym Zachód musi przestać traktować prawa człowieka jako osobny „koszyk” rozmów z Chinami. To klasyczna pułapka dyplomacji: kwestie gospodarcze omawiamy merytorycznie, bezpieczeństwo strategicznie, klimat technicznie, a prawa człowieka zostawiamy w osobnym dialogu, gdzie można jedynie „wyrazić troskę”. Taki podział jest wygodny dla Pekinu, gdyż izoluje krytykę od realnych dźwigni nacisku. Prawa człowieka powinny zostać włączone w handel, technologię, inwestycje, edukację, sport, kulturę, bezpieczeństwo i politykę wizową.

Jeśli pozostają one w osobnym pokoju, ten pokój łatwo zamknąć po godzinie rozmów i wrócić do kontraktów. Nie chodzi o to, by zerwać każdą umowę, lecz by każdy strategiczny obszar współpracy zawierał komponent praw człowieka. Rozmawiając o technologii, pytajmy o nadzór; o handlu – o pracę przymusową; o edukacji – o wolność akademicką i presję na studentów; o kulturze – o cenzurę; o klimacie – o łańcuchy dostaw paneli i surowców; o zdrowiu – o etykę transplantacji, a o religii – o więźniów sumienia. Nie robimy tego, by sabotować rozmowy, lecz dlatego, że bez tego stają się one wygodnym korytarzem omijania prawdy.

Zachód powinien także skuteczniej chronić diaspory. Ujgurzy, Tybetańczycy, praktykujący Falun Gong, chińscy chrześcijanie, aktywiści z Hongkongu, dziennikarze i dysydenci żyjący w demokracjach często doświadczają presji transnarodowej: gróźb wobec rodzin, cyberataków, śledzenia, infiltracji czy nękania. Dochodzi do prób uciszania wydarzeń oraz wywierania nacisków na uczelnie i lokalne instytucje. Jeśli państwo demokratyczne nie chroni ich skutecznie, pozwala obcej tyranii działać na własnym terytorium. Azyl nie może oznaczać jedynie fizycznego wjazdu do kraju – musi gwarantować realną ochronę prawa do mówienia. Uchodźca, który nadal milczy ze strachu o rodzinę, jest tylko częściowo ocalony.

Należy również wzmocnić międzynarodowe mechanizmy dokumentacji. Chiny utrudniają dostęp do Sinciangu i Tybetu, dlatego trzeba wspierać monitoring satelitarny, badania łańcuchów dostaw, analizę źródeł otwartych, zeznania uchodźców, archiwa cyfrowe, niezależne tłumaczenia dokumentów oraz ochronę świadków i pracę dziennikarską. Bez dokumentacji autorytaryzm wygrywa mgłą. Każdy obóz bez zdjęcia, każdy więzień bez nazwiska, każdy biskup bez publicznej listy, każde dziecko bez danych i każda fabryka bez audytu stają się łatwiejsze do zaprzeczenia. Dokumentacja jest powolną formą sprawiedliwości; nie zastępuje wyroku, ale przygotowuje dzień, w którym ten może być możliwy.

Koniunkturalizm demokracji należy rozumieć jako kryzys odwagi języka. Współczesne elity nauczyły się mówić tak, by unikać konsekwencji. Zamiast o „prześladowaniu" mówią o „niepokojących doniesieniach". Zamiast o „pracy przymusowej" – o „ryzykach w łańcuchu dostaw". Zamiast o „torturach" – o „niewłaściwym traktowaniu". Zamiast o „religii kontrolowanej przez państwo" – o „regulacjach działalności religijnej". Zamiast o „milczeniu" – o „dyplomacji". Język ostrożny ma swoje miejsce w prawie, ale staje się formą zdrady, gdy systematycznie osłabia rzeczywistość. Ofiara rażona prądem nie doświadcza „nadmiernej presji proceduralnej", lecz tortury. Matka, której odebrano dziecko, nie przeżywa „zakłócenia więzi rodzinnej", lecz przemoc państwa nad macierzyństwem.

Jeśli nie umiemy nazwać rzeczy, nie umiemy ich zatrzymać. W tym miejscu wracają słowa Ronalda Reagana: „Toczymy wojnę, a przegrywamy ją tylko dlatego, że nie zdajemy sobie sprawy lub nie chcemy sobie zdać, że w niej uczestniczymy". W odniesieniu do Chin nie musi to oznaczać konfliktu militarnego, lecz wojnę norm, instytucji, technologii, języka i odwagi. KPCh rozumie, że walczy o kształt porządku światowego: o to, czy państwo może zasłonić represje suwerennością, czy technologia nadzoru stanie się normalnym produktem eksportowym, czy prawa człowieka zostaną podporządkowane rozwojowi i czy organizacje międzynarodowe będą chronić jednostkę, czy raczej państwo przed krytyką. Zachód często zachowuje się tak, jakby uczestniczył jedynie w serii niepowiązanych sporów handlowych i dyplomatycznych.

Solidarność demokratyczna i spójność etyczna jako warunki skuteczności

Pekin widzi planszę. Demokracje zbyt często widzą jedynie pojedyncze spotkanie. Odpowiedź musi mieć charakter wspólnotowy, gdyż żadne państwo europejskie nie posiada wystarczającej siły, by samodzielnie przeciwstawić się Chinom. Nawet USA, mimo swojej potęgi, potrzebują koalicji, aby wywierana presja była skuteczna. Demokracje muszą działać wspólnie: w kwestii importu produktów powstałych w wyniku pracy przymusowej, kontroli eksportu technologii, ochrony diaspor, sankcji personalnych, standardów inwestycyjnych, bezpieczeństwa akademickiego oraz odporności na cenzurę gospodarczą. Autorytaryzm karmi się rozproszeniem świata wolnego.

Wystarczy nacisnąć na najsłabsze ogniwo – skusić jedno państwo inwestycją, ukarać drugie, podzielić trzecie. Solidarność demokratyczna nie jest więc sentymentalnym hasłem, lecz warunkiem skuteczności. Wymaga ona jednak uczciwości wewnętrznej. Zachód nie może bronić Ujgurów, jednocześnie lekceważąc własne mniejszości. Nie może potępiać chińskiej inwigilacji, sam budując systemy nadzoru pozbawione kontroli. Nie może mówić o wolności religijnej w Chinach i pogardzać religią jako taką we własnej kulturze publicznej. Nie może oskarżać Pekinu o cenzurę, tolerując jednocześnie autocenzurę własnych firm. Wiarygodność nie oznacza bezgrzeszności, lecz gotowość do stosowania zasad również wobec siebie. Demokracja, która potrafi się korygować, ma prawo krytykować tyranię. Ta, która tylko moralizuje, traci siłę; ta, która milczy – traci duszę.

Kluczowe jest, aby nie pomylić antychińskości z antytotalitaryzmem. Krytyka KPCh musi iść w parze z szacunkiem dla chińskiej kultury, historii i społeczeństwa. Chińska cywilizacja jest znacznie starsza i bogatsza niż obecna partia. W samych Chinach żyją ludzie wierzący, odważni, wątpiący, poszukujący, cierpiący i stawiający opór. Praktykujący Falun Gong, chrześcijanie Han, prawnicy praw człowieka, rodziny więźniów, mieszkańcy Hongkongu, intelektualiści, robotnicy, kobiety walczące z przemocą czy ludzie świeccy broniący prawdy – oni także są Chinami. KPCh stara się przekonać świat, że krytyka partii jest atakiem na cały naród.

Nie wolno wpaść w tę pułapkę. Obrona wolności w Chinach to obrona ludzi przed uzurpacją partii do reprezentowania wszystkiego. Koniunkturalizm demokracji jest groźny, ponieważ uczy tyranów cierpliwości. Tyran wie, że wystarczy przeczekać kadencję, zmianę rządu, kryzys gospodarczy, wojnę w innym regionie, sezon wyborczy czy zmęczenie opinii publicznej. Wie, że firmy wrócą, gdy zysk będzie odpowiedni; że politycy łakną sukcesów gospodarczych; że media kochają nowości, podczas gdy prześladowania są niestety powtarzalne.

Wie, że organizacje międzynarodowe można blokować proceduralnie i że część państw zawsze podpisze list poparcia, jeśli kredyt, inwestycja lub antyzachodni odruch okażą się wystarczająco silne. Tyrania nie musi być genialna – wystarczy, że demokracje będą krótkowzroczne. Dlatego niezbędna jest polityka długiego oddechu. Obrona wolności religijnej w Chinach nie może być jednorazową kampanią; musi stać się stałym elementem strategii wobec Pekinu. Każdy szczyt, rozmowa gospodarcza, umowa technologiczna, wizyta akademicka czy decyzja inwestycyjna powinny stawiać pytanie: czy wzmacniamy system niszczący sumienie, czy zwiększamy koszt jego działań? Odpowiedź nie zawsze będzie prosta, lecz samo stałe zadawanie tego pytania zmienia logikę polityki. Tyrania korzysta bowiem z tego, że ludzie zapominają pytać.

> W świecie, gdzie algorytm może uznać modlitwę za sygnał radykalizacji, a portfel cyfrowy staje się przymusowym spowiednikiem, wolność przestaje być brakiem zakazów, a zaczyna być walką o prawo do niewidzialności. Czy pozwolimy, by lęk przed utratą zysków zamienił nas w architektów więzienia, którego mury są zbudowane z kodu i światłowodów? Ostatecznie największym zwycięstwem tyranii nie jest bowiem złamanie oporu, lecz przekonanie świata, że sumienie drugiego człowieka jest zbyt kosztownym elementem w arkuszu kalkulacyjnym.

Inspiracje

[1]

"Chinas War on Faith" Sam Brownback

2026 | Republic Book Publishers | ISBN: 9781645721147

Samuel Dale Brownback (ur. 12 września 1956 r.) to amerykański polityk i dyplomata, który pełnił wszystkie cztery główne funkcje: kongresmena, senatora, gubernatora i ambasadora. Był członkiem Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych (1995–1996), senatorem Stanów Zjednoczonych z Kansas (1996–2011) oraz 46. gubernatorem Kansas (2011–2018). W latach 2018–2021 pełnił funkcję Ambasadora Stanów Zjednoczonych ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej. Jako jeden z głównych architektów Ustawy o Międzynarodowej Wolności Religijnej z 1998 r., Brownback poświęcił znaczną część swojej kariery na rzecz praw człowieka i wolności religijnej na całym świecie. Obecnie angażuje się w działalność takich organizacji jak Narodowy Komitet Wolności Religijnej i Narodowy Fundusz na rzecz Demokracji. Brownback uzyskał tytuł licencjata (B.S.) z Kansas State University i tytuł doktora prawa z University of Kansas.

Samuel Dale Brownback (born September 12, 1956) is an American politician and diplomat who has held all four major roles of congressman, senator, governor, and ambassador. He served as a U.S. Representative (1995–1996), a U.S. Senator from Kansas (1996–2011), and the 46th Governor of Kansas (2011–2018). From 2018 to 2021, he served as the United States Ambassador at Large for International Religious Freedom. A key architect of the International Religious Freedom Act of 1998, Brownback has dedicated much of his career to advocating for human rights and religious liberty globally. He is currently involved with organizations such as the National Committee for Religious Freedom and the National Endowment for Democracy. Brownback earned a B.S. from Kansas State University and a J.D. from the University of Kansas.

National Committee for Religious Freedom

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

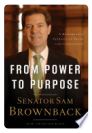

[1] "From Power to Purpose"

Sam Brownback

2009 | Thomas Nelson | ISBN: 9781418531126

[2] "Are Military Adultery Standards Changing? What Are the Implications?"

Sam Brownback

2000 | DIANE Publishing | ISBN: 9780788186844

[3] "Kansas Agricultural Law"

Sam Brownback, James Bryce Wadley

1989 | ISBN: 9780943861029

[4] "U.S.-Taiwan Defense Relations in the Bush Administration"

Ana I. Eiras, Arthur Waldron, Douglas Holtz-Eakin, George Walker Bush, James Jay Carafano, Jon Kyl, Peter Brookes, Rick Perry, Sam Brownback

2003

[5] "Marketing Violence to Children"

Sam Brownback

2002 | ISBN: 9780756722326

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[6] "The Measure of a Man"

Martin Luther King Jr.

[7] "I Have a Dream"

Martin Luther King Jr.

[8] "The Papers of Martin Luther King, Jr."

Martin Luther King Jr.

[9] "Die proletarische Revolution und der Renegat Kautsky"

Włodzimierz Lenin

[10] "Declaration of the Rights of the Peoples of Russia"

Włodzimierz Lenin

[11] **"What Is to Be Done?"**
Włodzimierz Lenin

[12] **"Putnam"**
Joseph Zen

[13] **"Trump on China: Putting America First"**
Mike Pompeo

[14] **"Communist China and the Free World's Future"**
Mike Pompeo

[15] **"Business Ethics (PDFDrive) (1)"**

[16] **"No Trade Is Free"**
Robert Lighthizer

[17] **"The Hundred Year Marathon Chinas Secret Michael Pillsbury"**

[18] **"Code Red"**
Wynton Hall

[19] **"Making China Modern Klaus Muhlhahn"**

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"Female characters of F. Herbert's novel "Dune" and their modern D. Villeneuve's screen counterparts: A comparative analysis"**
Sabina Timurovna Tursun-zade
2024 | Philology. Theory & Practice | DOI: 10.30853/phil20240480
Google Scholar

[2] **"Contribution weight of engineering technology on pollutant emission reduction based on IPAT and LMDI methods"**
Hairti Tursun, Zhenyang Li, Rui Liu, Yuan Li, Xiaohui Wang
2014 | Clean Technologies and Environmental Policy | DOI: 10.1007/s10098-014-0780-1
Google Scholar

[3] **"Will the Increasing Number of University Graduates in China Affect Their Future Employment Rates?"**

Sheng Wang, Chunyan Han

2020 | Barnard Education Review | DOI: 10.47744/ber.v1n1.2020.07.02

Google Scholar

[4] **"Do Business Relationships Affect the Accuracy of Analyst Earnings Forecasts? Evidence from China"**

Shengnian Wang, Chunyan Wei, Liang Han

2017 | Asia-Pacific Journal of Financial Studies | DOI: 10.1111/ajfs.12164

Google Scholar

[5] **"Religious Persecution: John Huss, Calvin, Servetus"**

Religious Freedom

1857 | The Catholic Layman | DOI: 10.2307/30022527

Google Scholar

[6] **"Research and practice of intelligent sensing technologies in civil structural health monitoring in the mainland of China"**

Jinping Ou

2006 | SPIE Proceedings | DOI: 10.1117/12.663993

Google Scholar

[7] **"Reform and practice of teaching methods for culture of medicinal plant"**

SI Jinping

2012 | China Journal of Chinese Materia Medica | DOI: 10.4268/cjcmm20120330

Google Scholar

[8] **"The Rapidly Changing Arctic and Its Impact on Global Climate"**

Jinping Zhao, Wenli Zhong, Yina Diao, Yong Cao

2019 | Journal of Ocean University of China | DOI: 10.1007/s11802-019-3890-x

Google Scholar

[9] **"The Changing Geography of Domestic Financial City Network in China, 1995–2015"**

Jinli Zhao, Xuebo Zhang, Jinping Song

2018 | Growth and Change | DOI: 10.1111/grow.12244

Google Scholar

[10] **"Assessing Symantec Endpoint Protection for Multi-Device Cybersecurity in Modern Networks"**

J Lenin, T Kumanan

2024 | International Journal of Modern Computation, Information and Communication Technology | DOI: 10.65000/x51kgv03

Google Scholar

[11] **"Shifting Narratives of Suzhi (Quality) and Suzhi Education : What Migrant and Rural Children in China Tell Us About the Changing Nature of Chinese Education"**

Jingjing Lou

2024 | Chinese Education & Society | DOI: 10.1080/10611932.2024.2377006

Google Scholar

[12] **"The Study of Farmers' Information Perceived Risk in China"**

Jingjing Zhang

2016 | IFIP Advances in Information and Communication Technology | DOI: 10.1007/978-3-319-48354-2_46

Google Scholar

Artykuły pokrewne (Google Scholar):

[13] **"Eliminating Neglected Diseases: Impact Of Published Paper"**

Sam Brownback

2007 | Health Affairs | DOI: 10.1377/hlthaff.26.5.1509

Google Scholar

[14] **"Confronting Childhood Obesity"**

Sam Brownback

2008 | The Annals of the American Academy of Political and Social Science | DOI: 10.1177/0002716207308894

Google Scholar

[15] **"End the Suffering in Sudan"**

Sam Brownback

1999 | Project Muse (Johns Hopkins University)

Google Scholar

[16] **"Mr. Smith goes to Washington?. Interview by Renee Blankenau."**

Mike Foley, Bill Frist, Kathleen McCarthy, C Fattah, Sam Brownback

1995 | PubMed

Google Scholar

[17] **"A New Contract with America"**

Sam Brownback

1996 | Policy review

Google Scholar

[18] **"Bioethics and the Future of Humanity"**

Sam Brownback

2006 | The National Catholic Bioethics Quarterly | DOI: 10.5840/ncbq20066326

Google Scholar

[19] **"A Conversation with Ambassador Sam Brownback"**

Sam Brownback

2018

Google Scholar

[20] **"CITIZEN INVOLVEMENT - FEDERAL LEVEL"**

Sam Brownback, Brownback, Sam

1995 | AgEcon Search (University of Minnesota, USA) | DOI: 10.22004/ag.econ.17050

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: ada63522-3074-4da1-812c-d8bd78a2c5e4